

NAUCZYCIELSKI KLUB LITERACKI  
BIAŁYSTOK



# NAJPROŚCIEJ



ISSN 1898-228X

4 / 146 / 2024

☐ **POEZJA.** • Renata Blicharz (str. 3-4). • Grażyna Cylwik (str. 5-7). • Regina Kantarska-Koper (str. 8-11). • Urszula Krajewska-Szeligowska (str. 12). • Grzegorz Nazaruk (str. 12). • Joanna Pisarska (str. 12). • Józefa Drozdowska (str. 13-14).

☐ **PROZA.** • Jolanta Maria Dzienis. *Zimowy dzień*. [Opowiadanie]. (Str. 15-16). • Barbara Gajewska. *Dzień Anny*. [Opowiadanie]. (Str. 16-20). • Mirosław Kossakowski. *Walizki... walizki*. [Opowiadanie]. (Str. 20-23). • Janina Jakoniuk. *Jubileusz; Wisiorek*. [Opowiadania]. (Str. 24-29). • Tadeusz Ruffiński. *Stół*. [Wspomnienia, dokończenie]. (Str. 29-38).

☐ **SATYRA.** • Andrzej Lewko. *Epitafia*. [Fraszki]. (Str. 39). • Kazimierz Słomiński. *Aforyzmy*. (Str. 39-43).

☐ **RECENZJE.** • Zofia Grabowska-Andrijew. *Zasiadam do deseru. Prowokacja*. Rec.: Kazimierz Słomiński. *Duch czasu jakiś niespokojny. Aforyzmy*. Białystok 2024. (Str. 44-46). • Irena Słomińska. *Ze snu rodzi się dzień*. Wstęp w: Grażyna Cylwik. *Tajemnice klepsydry*. Białystok 2024. (Str. 47). • Tadeusz Dudek. *Wzruszyłem się...* Komentarz do składanki poetyckiej na Dzień Niepodległości. Składanka: *Podlascy Poeci – Niepodległej*. Portal internetowy „Poeci w sieci”, 11.11.2024. (Str. 47-48). • Joanna Pisarska. *Jak w to grać*. Wstęp w: Regina Kantarska-Koper. *Gry i kolaże*. Białystok 2024. (Str. 49). • Joanna Pisarska. *Którędy droga*. Rec.: Dariusz Fedor. *Tędy droga*. Zielonka 2022. [pdf]. (Str. 49-52).

• Joanna Pisarska. *Błogosławieni cisi*. (Str. 52-53).

☐ **NOTKI.** Oprac. K. S. (Str. 53-63).

☐ **SATYRA** • Kazimierz Słomiński. *Galeria typów*. (Str. 64).

---

Autorzy tekstów zamieszczonych w 4/146/2024 numerze „Najprościej” w układzie alfabetycznym:

**Renata Blicharz** (Opole), **Grażyna Cylwik** (Białystok), **Józefa Drozdowska** (Augustów), **Tadeusz Dudek** (Katowice), **Jolanta Maria Dzienis** (Białystok), **Barbara Gajewska** (Piotrków Trybunalski), **Zofia Grabowska-Andrijew** (Chodzież), **Janina Jakoniuk** (Białystok), **Regina Kantarska-Koper** (Białystok), **Mirosław Kossakowski** (Warszawa), **Urszula Krajewska-Szeligowska** (Krajewo Białe), **Andrzej Lewko** (Białystok), **Grzegorz Nazaruk** (Białystok), **Joanna Pisarska** (Białystok), **Tadeusz Ruffiński** (Białystok), **Irena Słomińska** (Białystok), **Kazimierz Słomiński** (Białystok).

---

Wybór tekstów, opracowanie i przygotowanie do druku: **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**.  
Wydawca: Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Podlaskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białymstoku (15-034 Białystok, ul. Dobra 12).  
Druk: światłokopia ZO ZNP. Nakład 100 egz. Honorariów nie płacimy.  
Numer dostępny w całości na stronie internetowej Zarządu Okręgu Podlaskiego ZNP (pdf).

Grafika na str. 1: **Anna Ralicka-Perkowska** (Białystok).

**DWÓJKI**

**Ucieczka**

Zanim zrobisz pierwszy krok, upewnij się,  
czy droga nie prowadzi czasem do Alcatraz.

**Przestroga**

O czasie można wciąż i wciąż od nowa. Dopóki się nie skończy.  
Dopóki się nami nie znudzi.

**Oszust**

Zachód słońca późną nocą, wschód – skoro świt.  
Tak oto – miły sercu kłamca – upalny lipiec oszukuje dla nas czas.

**Słodkie przebudzenie**

Przymknięte oczy. Przeciagam się.  
Świat jest piękny o poranku.

**Pielgrzym**

W pyle drogi bosą stopą  
wydeptuje ścieżkę do zbawienia.

**Artystka**

Do twarzy mi ze sztalugą.  
Sztalugi z natury są fotogeniczne.

**Bursztyn**

Zastygamy w rutynie codzienności, jak owady zastygamy  
w lepkiej żywicy na naszą krótkotrwałą wieczność.

**Mona Liza**

Nie poznasz adresata mojego uśmiechu.  
Ukryłam go muśnięciem pędzla w kąciku ust

**Mona Liza II**

Nie zobaczysz w odbiciu źrenicy moich marzeń.  
Malarz ukrył je pod współprzymkniętą powieką.

**Atlasowa poszewka**

Najlepsza kropka nad minionym dniem:  
chłód poduszki na policzku, uśmiech przed snem. Do siebie.

**Życie**

Jakie to proste życie jest skomplikowane.  
Jakie to skomplikowane życie jest proste.

**Między ziemią a niebem**

Bardzo wielka przestrzeń może się mieścić  
między ziemią podłogi a niebem sufitu.

**Nie mam co na siebie włożyć**

Moja szafa pęka w szwach  
pełna sentymentów.

**Modlitwa**

Jestem wszechświatem.  
Wszechświecie, miej mnie w swojej opiece.

**Pasażerka na gapę**

Na jednym z przystanków osa wpada do wnętrza autobusu.  
Jedzie teraz przy oknie, czy tego chce czy nie. Bez biletu.

**Wiosna**

Forsycje już przekwitły.  
Nic tak szybko nie mija jak młodość.

**Prośba**

Nie rób dla mnie wszystkiego.  
Lepiej po prostu mnie kochaj.

**Staromodna waga**

Tarowanie z profilu: dwie kaczki starają się  
pocałować się dziobami po eskimosku.

**Już wiem, skąd we mnie tyle goryczy**

Chciałam być kimś innym albo kimś. Ale moje przeznaczenie  
chciało dla mnie czegoś zupełnie innego.

**Romantycznie**

Okna sypialni wychodzą  
na księżyc.

**Krem odżywczy 60+**

– Do starości to ty masz jeszcze, jeszcze...  
– Tak. Jeszcze... trochę!

**Dobra nowina**

Dzisiaj w porze porannej kawy telefon się  
nie rozdzwonił, lecz rozśpiewał.

**Oczy domu**

Rolety są powiekami  
okien.

**Błokowisko**

Na balkonach wieżowców debatują  
wichry z całego osiedla, a nawet i bliższych okolic.

**Słodycz**

Dzieciństwo szeleści  
papierkami po cukierkach.

## **Grażyna Cylwik**

### **NA KOŁOWROTKU DNIA**

#### **Dzień czułych strun**

pomrukuje miasto  
płaszcz ciszy pęka  
pamięć drąży  
iluzję szczęścia  
zagląda w jej zakamarki  
otwiera zdarzenie

czułe struny  
drżą otwierając przyszłość

szukam radości dnia

#### **Dzień po dniu**

każdego dnia  
zaplatam los  
poranek budzi  
skrzydłem motyla

czas przystaje na chwilę  
mijam mosty ufności  
kalendarz codzienności  
zatrzymuje słowo

słońce zagląda  
przez gałęzie  
całuje moje piegi

#### **Ze słońcem pod rękę**

czekam na magiczną chwilę  
wielki wędrowiec  
budzi się w poświęcie różu  
za widnokregiem

spaceruję z nim pod rękę

uśpione fale  
podnoszą grzywy  
wiatr kołysze  
trawy na wydmach  
słyszać szum morza

#### **Ten dzień**

wiatr południa  
wplótł się we włosy  
musnął moją twarz  
smak orientu obudził zmysły

historia zapisana w murach  
w kroplach deszczu  
zmywa wspomnienie

piękno życia odsłoniło twarz  
świat otworzył ramiona  
pachnie herbata  
marzenie jak motyl tańczy

morskie fale  
całują stopy

#### **Dzień niepokodny**

siąpią  
krople codzienności  
pod parasolem uczuć  
mijam kałuże

obłok rozwiesił  
lampiony zdarzeń  
w ramionach nocy  
przeżywam minione

plącze się kalendarz  
wspomnieniem ciepłego słowa

wiatr kręci piruety  
w takt znajomych kroków  
spacer ponad tęczę  
zmienił wszystko

#### **Okruchy codzienności**

przystanek życia  
zatrzymuje chwile szczęścia  
chwytam je  
jak motyle w siatkę

czas zaciera wrażenia  
niesie na skrzydłach  
okruchy chwil minionych

jestestwo  
zatrzymane w czasie  
cisza zaprosi na spotkanie

## **Tajemnice klepsydry**

czas zabrał wspomnienia  
przeszłość zamknięta

w klepsydrze życia  
cienie tajemnic

dzień miniony nie wraca  
wiosna  
wkłada się powoli  
z koszem kwiatów  
biegnie z ciepłym wiatrem

## **Niecodzienność**

na kołowrotku dnia  
przędę myśl

gwarna ulica przypomniała  
spotkanie sprzed lat  
uścisk dłoni tembr głosu  
wirowało powietrze

na krawędzi ust  
szepotało słowo  
niecodzienność

## **Uśmiech dnia**

wiosenny poranek pachnie lasem  
zapach słyszysz w powietrzu

rozświetl dzień uśmiechem  
zaproś do ogrodu marzeń  
tam kwitną kwiaty szczęścia

skrzypek ćwiczy pasaże  
patrzy na kwiat  
w tonacji durowej

spokojna nie płoszy myśli  
wschodzące słońce  
posyła ciepły pazur

## **Dzień bez ciebie**

był taki dzień  
kiedy skrzydłami motyla  
wkradłeś się cicho  
w zakamarki myśli

był taki dzień  
wzburzone morze  
niosło na grzywach fal słowo  
zagłuszał je wiatr

był taki dzień  
poranek witał ciepłem  
otulał promieniem słońca  
i tylko  
zabrakło ciebie

## **Jak jeden dzień**

był taki czas  
kiedy zmagając się z wiatrem  
stawiałaś czoło  
przeciwnościom losu

był taki czas  
kiedy świat cię otulił  
zmienił kolory dnia

był taki czas  
kiedy uśmiech zagościł  
na twarzy  
przeszłaś przez wzburzone  
myśli  
słońcu powiedziałaś  
Jestem

## **Chwile w siatce na motyle**

wspólna podróż  
przypadkowi ludzie  
na pewno?  
przypadków nie ma  
wszystko dzieje się po coś...  
ludzi spotykamy po coś...  
rozmowa gest spojrzenie  
czegoś nas uczy...  
kres podróży bliski  
mówimy do siebie  
czekam  
na kolejnym szlaku

## Jeszcze nie czas

jeszcze nie czas  
wtopić się w ciszę  
dzień się budzi  
zaprasza do przejścia  
przez próg

posłuchaj szumu drzew  
ciepły wiatr gra pieśń  
zanurz się w zapach kwiatu

później  
ukoi poranna kawa  
fotografia obudzi  
wspomnienie z uśmiechem

## Odsunąć zmierzch

słońce opiera się o zmierzch  
płonie na horyzoncie

fale odarte z grzyw  
przysiadły na brzegu  
kołysane wiatrem

a oni pod parasolem uczuć  
wyruszyli w podróż po szczęście  
brzegiem plaży

gaśnie światło dnia  
szukają muszli przeznaczenia  
zanim smuga cienia  
zakryje płaszczem

## W zenicie

zegar bije dwunastą  
pachnie kawa  
czytam w twych oczach  
prawdy nieznane

korowód motyli  
plącze myśli

uścisk dłoni  
pożegnał przeszłość

## Dzień w twoich dłoniach

budzisz kolorem  
śpiewem ptaków  
obejmujesz ramieniem  
ciepłego wiatru

posyłasz promyk słońca  
zimową przeszłość zamykasz  
otwierasz przestrzeń

rozwieszasz na nitkach  
krople miłości  
WIOSNO

## Czy pamiętasz

kręta droga przez las  
prowadzi na polanę  
drzewa szumią wspomnieniem  
podają ręce

liście w rytm wiatru nucą  
wtórują ptaki  
gubię się w twoich oczach  
wiruje sukienka

kapelusz opada  
na leśne runo

## Dzień utkany w niepamięci

czas zamknął drzwi  
jeszcze drga smuga cienia  
tli się słowo i wspomnienie

wypisane chwile  
na makatce zdarzeń  
podróżują z myślą  
szepcąc

**Grażyna Cylwik**

---

---

Z tomiku: Grażyna Cylwik. *Tajemnice klepsydry*. Białystok 2024.

---

---

## Regina Kantarska – Koper

### Sen poety

śniłem że obzeram się ciastem  
w towarzystwie możliwych tego świata  
stoły uginały się od tortów mazurków  
babek pierników sękaczy

słodycz na języku we śnie  
oznacza gorzyc na jawie

drzę o mazurek dąbrowskiego  
losy kobiet starców młodych buntowników

nie lubię współczesnej poezji  
wystarczy wpleść w bełkot parę uczonych  
słów

pierdu-pierdu bla-bla-bla  
najlepiej w obcym języku  
rzucić kilka nazwisk uznanych poetów  
jakiś bodler rębo (nie mylić z rambo)\*  
przyprawić garścią kuchennej łaciny

i już  
sypią się nagrody laudacje  
pieniądze spływają złotym deszczem  
w kieszenie zblazowanych ludzi z piórem  
umoczoną we krwi ofiar losu  
reliktów przeszłości  
chcących ocalić jakieś wartości  
tradycję  
normalność

wypijam swój kielich cykuty

\* Charles Pierre Baudelaire, Jean Nicolas  
Arthur Rimbaud – francuscy poeci, zaliczani  
do grona tzw. „poetów wyklętych”.

[Wikipedia](#).

### Gry i kolaże

życie to niezła układanka  
nic nie pasuje do niczego  
jak postrzępione puzzle  
spróbuj odnaleźć właściwy

gąszcz  
labirynty  
bez wskazówek  
nie znajdziesz drogi  
ni przystani  
błądzisz  
znój

gdy szukasz rady  
podsuwają ci  
sprzeczne  
która  
właściwa  
pożyteczna  
nie dowiesz się  
póki  
nie doświadczysz  
na własnej skórze  
ból  
poszukiwanie sensu  
jak igły w stogu siana  
nie znajdziesz – ktoś  
się udławi porani  
sam stawiasz sobie cele –  
trafiasz za kraty  
albo kulą w płot  
lub Panu Bogu w okno

bądź tu mądry  
człowieku  
i pisz wiersze



\* \* \*

*Nikt nie wierzy, że staje się już.  
Cz. Miłosz, Piosenka o końcu świata*

rób tak dalej człowieku  
nie krępuj się

wal prosto między oczy  
kop poniżej pasa

zobacz  
nie nadciągają czarne chmury  
z jasnego nieba nie pada grom  
patrz  
motyle siadają na pachnących kwiatach  
ptaki śpiewają beztrąsko  
zakochani patrzą sobie w oczy

mówisz  
wojna jest daleko  
do nas nie doskoczy  
kupię sobie sukienkę balową  
i nowe pantofelki  
tak bardzo lubię tańczyć

co sekundę rodzi się czworo dzieci  
co pół sekundy umiera człowiek  
dla niego to koniec świata  
trudno to pojąć

ale żeby nagle przepadło wszystko naraz?  
na pewno będą specjalne znaki  
na ziemi i niebie  
wtedy pomyślę o skrusze  
o pokucie  
zdążę się przygotować  
przecież to nie może być już  
gdy jutro bal  
pojutrze zabawa

rób co masz robić  
nie krępuj się  
wal prosto między oczy  
kop poniżej pasa

### **Wiersz o Warszawie**

w snach  
często wracam  
nad Wisłę mojej młodości  
znowu biegnę  
z rozwianą  
jasną chmurą włosów  
na wykłady

na Krakowskim Przedmieściu  
przyklejam nos do szyby  
alabastrowe figurki tańczą ożywione  
ręką mistrza Gracjana

potem spacerkiem  
wędruję Nowym Światem  
po drodze wpadam  
na pączki do Bliklego

wieczorem na Starówce  
smakuję dojrzałe wino  
u Fukiera

w sennych majakach  
warszawska Syrenka a może Nike  
przypomina:  
jutro egzamin  
z całego życia  
nie zdasz –  
odetnę mieczem głowę

budzę się  
u progu wieczności  
z niepodpisanym indeksem

## **Ręka pani Cantare**

pani Cantare budzi się w środku nocy  
o godzinie diabła  
chce się przeżegnać ale jej prawa ręka  
jeszcze śpi  
nie rusza się i nie czuje  
chyba jest martwa  
pani Cantare wpada w popłoch  
przerażona że od ręki zaczyna się  
umieranie

usiłuje pobudzić ją do życia  
masuje szczypie oklepuje

powoli odzyskuje czucie  
mrowienie płynie od opuszków palców  
po łokcie  
drętwota zmienia się w potworny ból

pani Cantare nie wiedziała  
że życie aż tak boli

czy dlatego noworodki  
krzyczą

## **Powołanie pani Cantare**

pani Cantare czuje ciężar przeżytych lat  
i zebranych doświadczeń  
laserem intuicji mierzy coraz krótszą  
odległość od końca drogi

jednocześnie na wskroś  
widzi obłęd świata  
opętanie władców  
powszechne szaleństwo  
pomieszanie  
wymieszanie przemieszanie  
zamieszanie

pani Cantare  
stawia sobie wzniosłe cele –  
ratować świat planetę i ludzi  
przed nimi samymi  
ocalić  
resztki dobroci  
przyzwoitości  
piękna

postanawia  
napisać cykl wierszy

## **Pani Cantare na śmierć skazana?**

pani Cantare niebotycznie  
rozkakało się ciśnienie  
i niczym nie daje się okiełznać

ból głowy ostatecznie obrzydza życie  
które mdli i wymusza torsje  
niemoc przykuwa do łóżka

nocą zdesperowana szuka ratunku  
pod telefonem 999  
zaspany głos odmawia pomocy  
bo  
karetka pojechała daleeeeko  
lekarz nie przyjedzie  
bo i tak nic nie pomoże  
najwyżej skieruje na SOR  
na wielogodzinne czekanie

zaspany głos radzi udać się  
na własnych nogach do ambulatorium  
po jakieś leki  
to nic  
że trzecia w nocy  
że czwarte piętro bez windy  
a staruszka potrzebuje dwóch kul

mimo próśb umęczonej kobiety  
karetka nie przyjedzie  
wszak pani Cantare nie uległa  
nagłemu wypadkowi  
nie jest też uciekinierką od wojny

jest tylko starą schorowaną poetką

## **Ballada ludowa**

Czarną nocą biały koń pędzi w kłus na zew,  
Mija w pędzie rzeki toń – woda to czy krew?

Mknie po niebie tabun chmur, wicher wznieca kurz,  
Płonie z trzaskiem straszny dwór barwą rannych zórz.

Błady jeździec wstrzyma bieg (z każdej strony wróg),  
Już niejeden tutaj legł u rozstajnych dróg.

Krótki namysł – goni czas, znów galopem gna,  
Drogowskazem mroczna twarz, w oku czarna łąza.

Los nie szczędzi przeszkód – kłód: knieje, jary, bór,  
Przebyć siódme morze w bród, nim zapieje kur.

Mało-wiele, uczuć cień i miłości ówierć...  
Noc się zmienia w inny dzień (życie to czy śmierć?).

Niedościgłych kopyt trzask, zębów dziki zgrzyt...  
Różą się zapala brzask, kur ogłasza świt.

\* \* \*

Od kuszenia Ewy i grzechu Adama  
historia ludzkości wciąż toczy się kołem.  
Człek czyni starania o dobro z mozołem,  
lecz błędy te same i sankcja ta sama.

Za nieczne uczynki na honorze płama  
i droga daleka do bycia aniołem.  
Chyba że się człowiek pogodzi z kościołem  
i wtedy do nieba otworzy się brama.

Ale bez Jezusa jest to niemożliwe.  
Bez Jego narodzin i bez zmartwychwstania.  
I dlatego ludzie stawiają zadania.

Nawet te najbardziej trudne, uciążliwe  
muszą służyć Bogu. To szansa zbawienia,  
aby nasze dusze pozostały żywe.

**Regina Kantarska-Koper**

---

---

Z tomiku: Regina Kantarska-Koper. *Gry i kolaże*. [Nauczycielski Klub Literacki], Białystok 2024.

---

---

**U r s z u l a**  
**K r a j e w s k a – S z e l i g o w s k a**

**Nieznany losie**

Nieznany losie, list piszę do Ciebie.  
Jakże się miewasz, jak tam Ci wiedzie się?  
Ty zamieszkujesz co dzień w mojej głowie,  
Niepokój niesiesz.

Co u mnie, pytasz? Nic nowego. Jestem.  
Przyziemność zwykła czas życia wypełnia,  
A melancholii gości u mnie chętnie  
Zamglony pejzaż.

Czasem przebije się przezeń słoneczny  
Promień i życie uśmiechem mnie darzy,  
Budzi marzenia, które w najciemniejszym  
Kąciku spały.

W ostatnich słowach listu życzę, żebyś  
Niósł dni w radości i szczęściu skapane,  
Bym szła ku tobie po dywanie kwietnym,  
Losie nieznany.

**U r s z u l a**  
**K r a j e w s k a – S z e l i g o w s k a**

---

---

**G r z e g o r z N a z a r u k**

**listu nie napiszę**

gdybym miał napisać list  
mój nieznajomy  
wysłać go w nieznane  
w cztery świata strony

i usłyszeć echo  
kiedy go przeczytasz  
dlaczego to piszę  
głośno mnie zapytasz

echo się rozniesie  
i narobi szumu  
świat zadrży w posadach  
niespełna rozumu

więc go nie napiszę  
wolę moją ciszę

**G r z e g o r z N a z a r u k**

**J o a n n a P i s a r s k a**

**Do niezanego młodego człowieka**

kreślę te słowa byś uniknął błędu  
na meandrach i płyciznach trudnego życia  
a natomiast zaznał rozkoszy  
bycia wysoko

więc po pierwsze przestrzegam cię  
przed uczciwością  
wiedz że to kiedy według niej postępujesz  
omijają cię zaszczyty  
i pierwsze miejsca na placach  
a dotychczasowi towarzysze  
śmieją się z ciebie za plecami

po drugie przed prawością  
żeby twoje słowa  
nie zostały rzucone przed wieprze  
a skarby zakopane

po trzecie przed dobrocią  
byś nie stawał się coraz mniejszy  
jak rozpadające się w ziemi ziarno  
gdy wokół ciebie zboże na chleb

jak wsiąkająca w glebę kropla  
gdy wokół ciebie wyrósł  
zielony  
żyzny  
las

**J o a n n a P i s a r s k a**

---

---

Wiersze z turnieju jednego wiersza *List do  
nieznajomego* (17.11.2024).

---

---

## **Józefa Drodowska**

### **O bracie, który na koniku bujanym galopował przez alkierz**

Na koniku, na bujanym,  
po alkierzu galopował brat mój mały.  
Piec kaflowy z jednej strony  
z tej radości aż zielony.  
Brat za grzywę konia chwytą,  
pod sufitem już kopyta.  
Etażerkę w pędzie przeskakuje,  
tuż przy kufrze wnet ląduje,  
wprost w czupryny rozczochrane  
u chodników ze szmatek tkanych.  
Koty, Murzyn z Mruczkiem, wystraszone  
do lambrekinu pazurkami przyczepione.  
Pomrukują: „Nie wypada, nie wypada,  
czeka nas z alkierza rejterada”.  
Szparagusy tuż przy oknach na stojakach  
krzyczą: „Zatrzymaj się, nieboraku,  
bo gałązki nam połamiesz i tym zrobisz  
przykrość mamie”.  
I zatrzymał konia w pędzie,  
uśmiechnięty w mym albumie będzie.  
Uchwycony okiem aparatu,  
białą czapką w ręce pomachując światu.

### **O starej maszynie do pisania, jej radościach i udrękach**

Stara maszyna do pisania, stojąc na dolnej  
półce regału, wzdycha co chwilę od rana.  
Jakże dawno nie zakładano jej nowej taśmy  
nasączonej barwnym tuszem  
i nie wkręcano w nią maszynowego papieru.  
Przypomina z lubością burą pręgowaną  
kotkę Protazinkę i czarnego kota Puszkę,  
jak udeptywały swymi łapkami leżące  
obok niej kartki z wierszami  
i znakami zapytania do nieba.  
Raz Protazinka, raz Puszek przykładały  
do jej obudowy ucho niczym do adapteru,  
słuchając stukotu młotków pod osłoną,  
które stawiały litery na papierze.  
Koty, łapiąc pani palce na klawiaturze  
i dzwigni cofania, myliły ją często.  
Musiała co chwilę wkładać nową kartkę  
i wyrównywać wałek z taśmą.  
Pokrętko z lewej, pokrętko z prawej,  
rączka do naciskania – miały z tym hecy  
co niemiara, a pani wielki ambaras.

A kiedy wreszcie udało się klawiszem enter  
zatwierdzić zdanie, cieszyły się oczy kotom,  
wierząc, że w tym ich zasługa.  
Mruczenie frunęło po pokoju i dosiadało  
grzbietów stojących na regałach książek.  
Gdy zamieszkała ze starą maszyną  
jamniczka wabiąca się Żamyczką,  
szczekanie z klaśnięciem klawisza  
niosło się aż na ulicę za oknem.  
Zmieniacz, trzymacz, cofacz, wózek  
i nóżki z gumowymi podkładkami  
młodniały pod psimi łapami  
i wiersz wreszcie nabierał sensu.  
Stara maszyna do pisania,  
co pogubiła literki w nazwie,  
rozmyśla, czy nie przenieść się  
z domu do muzeum, gdzie stoi  
wiele już nieprzydatnych  
jak ona urządzeń.  
A jednak potrzebnych,  
by przypominać dzieciom  
odległe czasy, jak niegdyś pisano  
przed erą komputerów i jaką radość  
sprawiało to mieszkającym z nią zwierzętom.

### **O strychu, kocie Tygrysie i pętku kielbasy z okraśnika**

Na strychu, w aureoli  
z pajęczyny i drobinek kurzu,  
z ziarenkami kminku na wibrysach,  
siedzi kot Tygrys, dumając,  
jak zejść po szczyrbatych schodach  
do sieni, by być niezauważonym.  
Siedzimy z mamą w kuchni  
z kubkami w rękach, pijąc  
kminkową herbatę i mając za nic  
obawy rudzielca.  
Od Trukieli zaciąga się niebo  
chmurami i dom napelnia się  
krzykiem derkaczy.  
Zza zazdrostek w oknie widać  
pierwszą kroplę deszczu  
na szybie i oczy spłoszonego  
kota Tygrysa z pętkiem  
kielbasy w pyszczku  
podebranej mamie z okraśnika.

### **O starym saganie i kwoce wysiadującej w nim pisklęta**

W wymoszczonym słomą i sianem  
saganie siedzi w sieni kwoka  
i otula czule piórkami  
dwadzieścia jajek.

Siedemnaście kurzych, dwa kaczce  
i jedno indycze.

Jaja białe, jasnozielone  
i w plamki niczym piegi  
na nosie dziewczynki  
dojrzewają pod ciepłym  
skrzydeł kwocznych.

Na drewnianym progu  
skrzypiącym ze starości  
wyleguje się kot Pimpus.

Skrzyp i mruczenia są niczym  
kotysanki dla wykluwających się  
ze skorupki jaj piskląt.

Dom ożywa, schody prowadzące  
na górę akompaniują zbiegającym  
po nich łapkami i butami.

Sagan, co ma niejedną dziurę,  
czuje się znów użyteczny.

Raz w roku, tuż  
przed Niedzielą Palmową,  
pręży się jak wówczas,  
gdy przyniósł go mamie  
wędrowny kotlarz  
kilka lat temu.

Dom pod topolą  
z całym stworzeniem: mamą,  
kotem Pimpusiem,  
gdaczącą kwoką z pisklętami,  
co przypominają kaczęńce na bieli  
tuż za podwórzem,  
zaśpiewają za tydzień  
z radości Alleluja.

### **O koniu, fanarze, co głowę mamie oświetlał, i kunie buszującej na strychu**

Mama przysiadła  
na progu stajni,  
konia przed nocą poi.  
Księżyc sierpem  
przegarnia jej włosy,  
nie zważając na to,  
że fanar całą ją oświetla.

Nafta szumi w fanarze,  
knot spala się w pieśni.  
Koń podniósł do góry chrapy,

spojrzał w mamine oczy  
i dziękując za wodę,  
zarżał serdecznie.  
Po strychu w domu  
przebiegła kuna  
z nadzieją, że nikt  
jej nie usłyszał.

### **O spotkaniu jeża Jerzego z wierszem pod kępką maruny**

W ogródku pod kępką maruny  
przysiadł jeż Jerzy.

Spojrzał małymi oczkami  
przed siebie.

Przy stole pod rozłożystą  
jabłonią  
zobaczył dziewczynkę  
układającą wiersz.

W jednej ręce trzymała  
ogromną papierówkę,  
a drugą zanurzała  
obsadkę w kałamarzu  
z atramentem.

Nad podwórze  
ze stara studnią  
z kluczką i wiaderkiem  
powoli opuszczał się  
księżyc.

Jeż Jerzy z radości  
tupał krótkimi łapkami  
i posapywał,  
gdy dziewczynka  
postawiła kropkę  
na kartce papieru.

Cmokał z zadowolenia,  
aż wiersz to usłyszał,  
wysunął się z kartki  
i cichutko  
podszedł do jeża.

W cembrowinie studziennej  
odbijały się  
zdziwione oczy  
dziewczynki,  
w której rodziła  
się poetka.

**Józefa Drozdowska**

---

Ze zbioru: Józefa Drozdowska.  
*Za kocurkiem kotki i dzieci sznurkiem.*  
Grajewo – Augustów 2024.

## ZIMOWY DZIEŃ

Zima nadeszła. Przynajmniej kalendarzowa. Bo to, co się dzieje za oknem, to raczej późna jesień, ciemna, nieprzyjazna i mglista. Żeby nie zasnąć nad klawiaturą, przypominam sobie niegdysiejsze dni prawdziwej zimy, pełne śniegu, mrozu i słońca. Albo choćby tylko jeden zaśniewony dzień? O, choćby ten, gdy obudziła mnie cisza...

Gdy się ocknęłam niespodziewanie w środku styczniowej nocy, nie wiedziałam, co mnie wybiło ze snu. Leżałam nieruchomo, wpatrzona w ciemność, zastanawiając się w napięciu, co się stało, dlaczego nie śpię? Prawda dotarła do mnie gwałtownie, oprócz tykania zegarów niczego nie słyszałam. Kiedy zasypiałam, za oknem szalała wichura, wstrząsająca framugami, miotająca śniegiem, który ciężkimi pacnięciami rozbijał się o szyby i parapet. Od kilku dni właśnie te dźwięki kołysały mnie do snu. A teraz nic... cisza...

Ranek wstał bezchmurny, słońce oślepiło podwójnie, odbite od grubej warstwy śnieżnobiałego śniegu. Temperatura oscylowała w okolicach pięciu stopni poniżej zera. O takiej zimie od dawna marzyłam!

Oczywiście, nie mogłam usiedzieć w domu, przecież mieszkam na końcu świata, pod lasem. Wystarczy przejść przez tory i już drzewa otaczają gęstym szpalerem ze wszystkich stron. Kiedyś to był dla mnie kres wszystkiego, teraz już nie, przecież życie cały czas płynie, więc chcąc nie chcąc zmieniamy się i my...

Z pawlacza ściągnęłam stary plecak, załadowałam go rajskimi jabłuszkami, paroma marchewkami, torebkami z siemieniem lnianym, ziarnami zbóż i tłustymi skrawkami boczku, dołożyłam kilka pojemniczków po gotowych zupkach, dorzuciłam termos z mocną, gorącą herbatą i pomaszero wałam do lasu.

Śniegu napadało tyle, że w lesie, tam gdzie prawie nikt nie chodzi na spacer, bo za daleko, było naprawdę urokliwie. Jak w baśni Christiana Andersena, albo jeszcze piękniej. Idąc drogą gruntową można dobrnąć do Turczyna, niewielkiej wsi, oddalonej od mojego domu o ponad dwa kilometry, ale ja porzuciłam wytyczony szlak i weszłam między drzewa. Jesienią przedzierałam się przez zarośla w ulewnym deszczu, więc tym bardziej niestraszne mi były teraz oblodzone, obciążone śniegowym puchem, gałęzie sosen i jałowców. Nawet lekko potrącone, zrzuciły na głowę białe tumany, z czego cieszyłam się jak dziecko, lubię przecież zimę ze wszelkimi jej dodatkami. Przyznam również skrycie, że nie przeszkadzał mi śnieg za kołnierzem, szczypiący w szyję, roztopiający się i błyskawicznie spływający na rozgrzane szybkim marszem plecy. Jestem szalona? Może troszeczkę...

Gdzie bym nie spojrzała, na grubej śnieżnej skorupie widniały odciski łap i pazurków zwierzyny rozmaitej. Między drzewami mignął mi cień zająca, nad głową ptaki w słońcu ćwierkały jak szalone. Oprócz wróbla i krukowatych zobaczyłam kilka sikorek w niebieskich czapczkach, kątem oka dostrzegłam też gila z czerwonym brzuszkiem.

Nie miałam kompasu, ale wiedziałam instynktownie, że cel mojej wyprawy jest tuż za najbliższym skupiskiem wysokich, teraz bezlistnych, ośnieżonych krzewów. Nie myliłam się. Leśna polana z rozłożystą sosną pośrodku, z pędami płożącymi się tuż przy ziemi, zdawała się na mnie czekać. Bez trudu dobrnęłam przez niewielkie, sypkie zaspy do drzewa. Wyładowałam plecak. Rajskie jabłuszka i marchewki nadziałam na sterczące gałązki. Ziarna zbóż oraz siemię lniane wsypałam do miseczek, które starannie umieściłam w rozgałęzieniach konarów, przywiązując je sznurkiem, żeby nie spadły. Skórki słoninki i skrawki boczku zaczepiłam o ostre sęczki po ułamanych gałęziach. Uśmiechając się od ucha do ucha, z dumą obserwowałam efekty swoich poczynań. Sosna wyglądała prawie jak bożonarodzeniowa choinka. Będą miały stworzenia leśne używanie!

Kiedy wracałam do domu, tuż przy torach przebiegło mi drogę stadko kuropatw.

Po raz kolejny odkryłam, że taki spacer w słoneczny, śnieżny, zimowy dzień może sprawić, iż życie wydaje się piękniejsze niż zwykle.

I wydawać by się mogło, że po tej wyprawie do lasu zasnę bez kłopotów, a tu nic z tego! Przewracałam się z boku na bok, a sen nie nadchodził. Żadne domowe sposoby nie zadziałały, łącznie z zaparzoną melisową herbatką, ani kieliszkiem czerwonego wina – w jakiś czas potem. Kiedy zawiodła nawet nudna lektura, jaką mam zawsze pod ręką na takie właśnie przypadki, a zegar wybił północ, poczułam raptownie nieprzewartą chęć wyjścia z domu. Przy drzwiach leżał wysłużony plastikowy liść, na którym w zamierzczłych czasach szalała moja córka, wygrzebany dnia poprzedniego w ramach generalnych porządków na strychu. To on nasunął mi iście szatański pomysł... Postanowiłam pojechać z górki!

Wprawdzie w pobliżu miałam tylko niewielkie wzniesienie, okupowane w dzień przez dzieciaki, zachwycone dawno niewidzianą zimą, ale lepsze to niż nic. Już zapomniałam, jaka to przyjemność! Zjeżdżałam i wdrapywałam się i znowu zjeżdżałam... Ach, było cudnie...

Kiedy wracałam do domu, zaczął padać śnieg. Grube płatki tańczyły wokół mnie, a ja rozłożyłam ręce i wirowałam razem z nimi w podmuchach wiatru.

Spałam po tym wszystkim, jak zapewne każdy się domyśli, twardo i bez snów.

**J o l a n t a M a r i a D z i e n i s**

---

**B a r b a r a G a j e w s k a**

## **DZIEŃ ANNY**

*Zdrowaś Maryjo... Ojczy nasz... Chwała Ojcu... Jezu, ufam Tobie...* Dzień wstał. Kolejny, wiosenny, ciepły, słoneczny. *Dzięki Ci, Panie...* I wstała ona. I wchodzi w ten nowy dzień na kolanach, pełna modlitwy. Patrzy na nią Jezus – przyjaciel. Patrzają na nią wszyscy święci. Niektórzy z obrazków – poustawianych, porozwieszanych. Niektórzy wprost z nieba. I nie jest sama, choć jest sama. Przepelnia ją błogość, sumienie nie robi jej żadnych wyrzutów. Jest tak blisko Boga, że niemal czuje jego oddech. Jest w niej porządek. Cała jest w porządku. *Uwielbiam Cię, Panie, i dziękuję, że jesteś tutaj. Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój...* Jak dobrze! Piękny poranek. A za ścianą znów: Ty kurwo! Zabiję cię! I: Ty skurwysynu! Te słowa wpadają w jej poranek jak ostre kamienie. Boleśnie rozbijają jej błogość. Anna zatyka uszy. Jak tak można żyć? Ten człowiek wydawał jej się inny – cichy, zrównoważony. Dlaczego teraz tak.... Dobrze, że syn nie mieszka z nimi, nie musi patrzeć na pijanego ojca. Nie, nie może być obojętna wobec tego, co tam się dzieje. Musi coś z tym zrobić. Puka do sąsiadów i słyszy: A to co za kurwa o tej porze? W Annie aż zakipiło. Ona kurwa?! I natychmiast opamiętanie: Przecież to biedny, poraniony człowiek. Coś z nim się dzieje niedobrego. Przecież był inny. Trzeba się za niego modlić. I ten biedny, poraniony człowiek stanął przed nią na pół nago, niechlujny, śmierdzący gorzałą.

– Czego? – burknął. – Wszystkie jesteście kurwy!

– Czy mógłby pan ciszej, czy mógłby pan nie przeklinać? Bo... Obraża pan ...

– Twojego Boga, tak? – przerwał jej i roześmiał się rubasnie, drwiąco. – Polecisz do kościółka i przeprosisz za mnie, no nie?

– Pod panem mieszka rodzina z dziećmi – powiedziała nieśmiało. – Przecież...

A tamten:

– Spierdaj i nie wtrącaj się! – i z hukiem zatrzasnęła drzwi.

Anna nie mogła opanować wzburzenia. Jak on tak... O Bogu... I jak ją potraktował? Co za „ty”? Przecież ona mówiła mu „pan”. Przeżegnała się i wróciła do siebie.

Na fotelu leżały rzeczy do prasowania. Na wierzchu jej ulubiona zielona bluzka. Włączyła żelazko i uprasowała bluzkę. Potem machinalnie prasowała kolejne rzeczy. Ale to nie uspokoiło jej wzburzenia. Przebrała się. Założyła tę zieloną ulubioną bluzkę i wybiegła. Kościół był niedaleko. Przychodziła tu codziennie. Siadła w pierwszej ławce.



Chciała być jak najbliższej ołtarza. Tak lubiła. Tu czuła wyraźnie, że ogarnia ją spojrzenie Najwyższego, który cieszy się, że do niego przyszła, że nie pozostała obojętna wobec tamtego za ścianą. W mrokach kościoła jaśniała Jego miłość i Anna chłonęła tę miłość, i *alleluja* rozbrzmiewało w niej zachwytem i uwielbieniem. I modliła się za tamtego: *Panie, wypędź z niego szatana, niech się stanie dobrym człowiekiem, niech kocha żonę i syna, niech przestanie pić, niech nie używa takich ohydnych słów, które przecież i Ciebie obrażają, niech...* Sporo czasu spędziła w kościele. Od klęczenia zaboląły ją kolana, ale co tam kolana. To jej ofiara za tamtego. Anna była bardzo zadowolona, że za tamtego niedobrego człowieka złożyła Bogu jakąś ofiarę.

Powracała do domu wyciszona, zachwycała się rozsianą wszędzie radością majowego dnia. I znów dziękowała Bogu za ten cudowny świat stworzony dla niej i innych ludzi, za słońce, drzewa, ptaki, obłoki. Spojrzała w zachwycie na te obłoki i nie zauważyła wyrwy w chodniku. Upadła i poczuła ostry ból w kostce. Natychmiast zjawili się przy niej kilka osób, pytając, czy nic się jej nie stało, czy może wstać, czy jej pomóc. Niestety, nie mogła wstać. Noga nie pozwalała. Ktoś zadzwonił po pogotowie. Karetka zjawiała się niespodziewanie szybko. Okazało się, że akurat przejeżdżała nieopodal. Ratownik stwierdził, że noga musi być prześwietlona i że trzeba w związku z tym zabrać Annę do szpitala.

– Miała pani szczęście – mówił lekarz, oglądając zdjęcie rentgenowskie. – To tylko zwichnięcie. Kości są całe.

– Bóg wie, co robi – powiedziała Anna. – To nie szczęście, to jego opieka.

Lekarz spojrzał na nią, ale nie skomentował. Powiedział:

– Usztynię nogę w kostce i będzie pani mogła iść do domu. Proszę uważać, nie przemęczać nogi. Proszę receptę. Tym roztworem będzie pani robić okłady. Wystarczy raz dziennie. Czy ma pani jakieś pytania?

– A jak ja wrócę do domu, gdy noga boli?

W pytaniu Anny lekarz wyczuł jakiś zarzut.

– Przykro mi – powiedział. – Przyczyna jest zbyt błaha, abym mógł wysłać karetkę.

Anna wyszła z ambulatorium pełna obaw. Myślała, że nie da sobie rady, ale usztyniona noga już tak nie bolała. Poza tym dostała lek przeciwbólowy i mogła iść, kulejąc co prawda, bo zwichniętą nogą podierała się z wielką ostrożnością. Do przystanku autobusowego było bliźutko. Anna nie udała się jednak od razu na przystanek. Zatrzymała się w niewielkim parku, tuż za szpitalem. Siadła na wygrzanej słońcem ławce i wyciągnęła różaniec.

– Dzięki Ci, Panie Boże, że nie złamałam nogi, że mnie uchroniłeś. Dzięki Ci, Aniele Boży, Strózu mój, że stałeś przy mnie. Dzięki Ci, Matko Boska, Matko moja... – szeptała. *Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna... Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...* Przebierała paciorki różańca. Potem jej palce zatrzymały się. Przepelniona wdzięcznością, rozmyślała. Jak to dobrze, że nie ma jakiegoś chłopa, który by jej życie zatruwał. Jak to dobrze, że Bóg ją ustrzegł przed tamtym...

Łukasz Woźnicki był hydraulikiem. Wiedziała o tym. Gdzież miała udać się po pomoc, jak nie do niego, gdy nie mogła dokręcić kuchennego kranu i kapanie wody działało jej na nerwy. Był pod ręką. Nie słyszała wtedy awantur. Sądziła, że jest porządnym człowiekiem. A może taki był?

Przyszedł z ochotą. Rozprawił się szybko z kranem. Nie chciał pieniędzy. Mówił, że to drobnostka, że nie ma sprawy... Zaproponowała więc kawę. Skorzystał chętnie. Wyczuła, że chciał pogadać. Zobaczyła pod rozchyloną koszulą łańcuszek z krzyżykiem i poczuła do niego sympatię.

– Jak się panu żyje? – zagaadnęła.

– Ach... – machnął ręką i chlipnął kawy.

– Chyba dobrze – próbowała odpowiedzieć za niego. – Ma pan żonę, syna, dobry zawód, bo hydraulicy wciąż potrzebni...

Przerwał jej.

– Pani to ma dobrze. Tak tu przytulnie, cicho, robi pani co chce i nikt się pani do niczego nie wtrąca. Kiedyś to mi było pani żal, że pani tak sama... ciągle... nawet w święta...

Zaśmiała się.

– Nie jestem sama. Widzi pan? On na mnie wciąż patrzy. Czuję jego obecność. Rozmawiam z nim – Anna wskazała na wizerunek Chrystusa z całunu turyńskiego. – To jego prawdziwe oblicze, wie pan?

Znów machnął ręką, jakby to, co powiedziała Anna, nie miało dla niego znaczenia.

– Kiedyś mi pani było żal – powtórzył. – Nawet chciałem...

– Co pan chciał?

– Nieważne – powiedział wymijająco i po chwili dodał:

– Dziwne... Jakie to dziwne...

– Co dziwne?

– Nieważne – rzucił to samo słowo co wcześniej.

– Dziwnie się z panem rozmawia – powiedziała Anna i Woźnicki wyczuł irytację w jej głosie.

– A teraz pani zazdroścę – powiedział i podniósł do ust kubek, choć był już pusty.

Anna nagle zrozumiała, że Bóg przysłał do niej tego człowieka, żeby mu pomogła. Widziała, że jest jakiś pogmatwany, że coś go dręczy. Nosi krzyżyk na szyi, więc jest wierzący, ale może poplątały mu się drogi?

– Panie Łukaszu – mówiła z czułością – jest pan taki przygnębiony. Może jest pan na niewłaściwej drodze? Zastanawiał się pan nad tym?

– A jaka droga jest właściwa? Która to? Pani wie?

– Pewnie, że wiem. To droga do Boga – w głosie Anny pobrzmiewała prawie ekstaza.

– I pani tą drogą idzie, tak? I na tej drodze jest tylko pani, tak? I obok nikogo, nikt nie przeszkadza, tak? I jest pani z tego zadowolona, tak? I...

Anna przerwała mu.

– Widzi pan, człowiek jest wolny i wybiera, co chce.

– A pani żyje tak sama z wyboru? – zapytał.

– Widocznie taka była wola Boża, a tej woli jestem posłuszna.

– A jaka była wola Boża względem mnie?

– No... Założył pan rodzinę. Jest pan mężem, ojcem... Tę drogę pan wybrał.

– Ale czy taka była wola Boża względem mnie?

– Proszę pana, ja mam wiele pokory, nie ośmieliłabym się stwierdzić, że wiem na pewno, jaka była wola Boża, ja...

– Skończmy z tą Bożą wolą, sąsiadko – tym razem to Woźnicki mówił z wyraźną irytacją. – Mało pani o mnie wie, o mnie, o moim życiu, o moim małżeństwie, o mojej wciąż niezadowolonej żonie, która się czepia o byle co, poniża mnie, bo ona ma maturę, a ja nie, i wszystko jest nie tak, i wszystko źle, i... Ech, szkoda gadać...

Odsunął kubek i wstał z krzesła. Przeszedł do kuchni. Powoli zbierał narzędzia hydrauliczne i układał je starannie w torbie. Potem oparł się o blat szafki i wyciągnął papierosa. Nie zapytał, czy może zapalić, nie poprosił o popielniczkę. Strząsał popiół na dłoń a Anna pomyślała, że musi mieć bardzo grubą skórę na tej dłoni, skoro papierosowy popiół nie parzył go. Nie wiedziała, jak się teraz zachować, co powiedzieć, a sytuacja stawała się niezręczna, przedłużające się milczenie ciążyło. To milczenie przerwał on.

– Tyle tu u pani boazerii. Nawet w kuchni. Wszędzie. Nie daj Boże, by kiedyś nastąpiło jakieś zwarcie w przewodach albo ktoś zaprószył ogień...

– Ja nie palę – powiedziała Anna i zabrzmiało to jak wyrzut.

– Przepraszam. Gdzie mogę to wyrzucić? – wyciągnął dłoń z popiołem i zgaszonym niedopałkiem papierosa.

Anna podsunęła mu jakiś spodek. Pozbył się papierosowych resztek i otarł dłoń o spodnie. Anna czekała, kiedy ten hydraulik wreszcie sobie pójdzie i on to wyczuwał. A jednak nadal stał oparty o blat szafki. Anna podeszła do kuchenki.

– Nastawię wodę – powiedziała i odwróciła się tyłem do mężczyzny. Wtedy poczuła go przy sobie. Stał tuż za nią. Czowała na szyi jego oddech. A potem poczuła na udzie jego dłoń. Odwróciła się gwałtownie.

– Co pan robi?! Ma pan żonę! – odepchnęła go.

– Dawno nie miałem kobiety – stwierdził chłodno. – Niech się pani tak nie boi. Nie zgwałcę pani.

– Jak pan może! Ma pan żonę! To grzech!

– Grzech to jest tak marnować swoje ciało, jak pani. Jaki z niego użytek, gdy się nim pani

z nikim nie dzieli? A Bóg, na którego tak się pani powołuje, kazał się dzielić, nie?

Woźnicki zabrał torbę z narzędziami i szybko wyszedł. Anna nawet nie zdążyła zareagować.

*Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...* Anna wygrzewa się na ławce w parku. Jest spokojna. Nie czuje już bólu nogi. Wie, że wróci do domu, w którym panuje ład, bo nie ma kto go zmać. Nie ma męża i dzieci, więc niektórzy mówią, że nie ma i trosk, bo cóż to za troski o samego siebie? Najbardziej boją, najbardziej przygniatają troski o najbliższych. A zawsze najbliższe są dzieci. I to matka przede wszystkim zagarnia tę bliskość. Gdy im się dobrze w życiu układa, matka może być spokojna, ale życie jak życie, rzadko kiedy nie ma w nim zawirowań. I rzadko kiedy matki są spokojne. Gniotą je troski, spędzają sen z powiek, kęsa jak złe psy. Tyle trosk, ile dzieci. No tak, ale Anna też ma swoje troski. Ot, choćby teraz ta noga. Albo problem ze sprzedażą mieszkania po babci. Czy kupcy znajdą się szybko, czy będą uczciwi, czy zapłacą korzystnie? Niech się dzieje wola Boża. *Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu...* Skończyła odmawianie różańca. Poczuli się głodni. Czas do domu. Akurat zdąży, żeby zjeść coś, usiąść w fotelu i spokojnie odmówić koronkę do Miłosierdzia Bożego.

Ale tym razem Anna nie odmówiła koronki o godzinie piętnastej, Godzinie Miłosierdzia. Siedziała w swoim ulubionym fotelu, teraz okopconym i mokrym, i płakała. Jej myśli, jak spłoszone ptaki, odfruwały bezładnie w różnych kierunkach.

Pani Ala z pierwszego piętra pocieszała Annę:

– Proszę nie płakać... Proszę się nie martwić... Najważniejsze, że nic się pani nie stało...

Jak to dobrze, że nic się pani nie stało, bo on...

Pani Ala nie dokończyła. Cóż miała powiedzieć? Co powiedzieć teraz, gdy sama była przerażona? Anna nie reagowała. Wciąż płakała. Jeden z policjantów postanowił jednak wykonywać swoje rutynowe czynności.

– Proszę pani, muszę zadać pani kilka pytań...

Anna nie reagowała. Nawet nie spojrzała w stronę policjanta.

– Czy pani dobrze знаła swojego sąsiada, Łukasza Woźnickiego?

Anna milczała.

– Jego żona zeznała, że była dziś pani u nich w mieszkaniu, że była pani świadkiem awantury...

Anna milczała.

– Proszę pani, czy pani pamięta, co robiła przed wyjściem z domu? Musimy ustalić, skąd ten pożar, dlaczego pan Woźnicki, rozumie pani...

Nie rozumiała. Nic nie rozumiała.

– Chyba się z nią teraz nie dogadamy... – policjant machnął ręką i schował notes.

Anna wciąż siedziała w mokrym fotelu, kiwając się lekko. I wciąż płakała. Wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych i drżącymi rękami próbowała ją rozpakować. W pokoju zebrało się parę osób. Jedna z pań wzięła od Anny paczkę chusteczek, rozpakowała ją i oddała w milczeniu. Drzwi do mieszkania Anny były otwarte. I wszystkie okna też. Woń spalenizny czuć było w całym bloku. Ludzie byli ciekawi, co tak naprawdę się stało, jak doszło do tych dwu tragedii. A niektórzy naprawdę chcieli pomóc. Zebrani komentowali, snuli domysły, ale ich wypowiedzi docierały do Anny tylko w strzępach, kawałkami, krążyły gdzieś daleko poza nią – niejasne, niewyraźne, pocięte. Żelazko... spieszyła się... pewnie tak... ale dokąd... sznur spalony... o... wtyczka... tak, tak... w gniazdku, jeszcze... w gniazdku... wtyczka... może spięcie... tak, tak... boazeria... moment... wszędzie boazeria... było dobrze... dobrze... tyle lat było dobrze... dlaczego teraz... może jakieś przeżycie i... remiza... niedaleko... szybko... mieszkanie zalane, ale... dzielni strażacy... sporo ocalało... tylko po co on... tam... po co... biedna kobieta... nie... nie wiem... nie znałam... gdzie... nie wiem... tak... kulturalna... ja też... tak... do kościoła... często... może też... ale... ta noga... długo... ta boazeria... boazeria... Woźnicy... Woźnicki... pan Łukasz... pan Łukasz...

Nagle Anna przestała płakać. Wpatrywała się w żonę Woźnickiego, której słowa świsnęły jak bicze ponad głowami zebranych i smagały tylko ją. Patrzyła ze zdumieniem i niedowierzaniem, że aż tak... Co ona mówi, ta Woźnicka, co ona mówi?... I czuła się kamienowana tymi jej słowami.

I kulila się pod ciosami tych słów.

– To przez nią mój mąż nie żyje... Przez nią... Mówiłam mu, że z balkonu na balkon niełatwo przejść, że jeszcze nie jest trzeźwy, że przecież zadzwoniłam po straż... Ale on się uparł. Myślał, że ona tam jest, że się zaczadziła, bo tam tyle boazerii... Odepchnął mnie... Nie mógł otworzyć drzwi, to postanowił przez balkon... Musiało coś pomiędzy nimi być, bo kto by tak... Ona sama, wolna to i... Takie najgorsze. Stare panny... Świętoszki...

Anna podniosła głowę. I zobaczyła w twarzy tamtej – szatana... To on wypowiadał te straszne słowa tak bardzo ją poniżające. Była pewna, że szatan krąży pomiędzy ludźmi i wyszukuje sobie ofiar. I dopadł tę kobietę. Biedna kobieta... To jej trzeba współczuć. Tę kobietę przysłał tu Bóg, żeby Anna się za nią modliła. Bóg wie, co robi.

*Zdrowaś Maryjo... Jak ona mogła, jak mogła... Spraw Boże, bym zapomniała. Jak to dobrze, że wyjechała, że nie muszę się już obawiać spotkania z nią. Wiem, że to dzięki Tobie tak się stało. Dziękuję, że wysłałeś Ducha Świętego, by natchnął jej syna i przyjechał tu, by ją stąd zabrać. I uwolniłeś mnie od niej. Ale te jej słowa... Te oskarżenia... Co myślą teraz o mnie ludzie, którzy to słyszeli? Co mam zrobić, żeby nie myśleli o mnie źle? Tłumaczyć się przed każdym, wyjaśniać? Czy mi uwierzą? Podpowiedz mi, dobry Boże, co mam zrobić? Dobry Boże, dziękuję ci za ten pożar. Teraz wiem, że stało się tak po to, żebym modliła się za nią. Teraz wiem, że jej mąż rozpił się, bo nie mógł sobie poradzić z takim życiem – z nią, pod jednym dachem. Zabrałeś go do siebie, Ty wiesz, co robisz, może tak dla niego lepiej... I dla innych... Daj mu wieczne odpoczywanie. Przebacz mu jego grzechy. I dziękuję ci, Boże, za kolejny dzień, za ciepły majowy zmierzch... Matko Boża, maj to twój miesiąc... *Kyrie elejson, Chryste elejson... Matko dobrej rady – módl się za nami...**

**Barbara Gajewska**

---

**Mirosław Kossakowski**

## **WALIZKI... WALIZKI**

NFZ w dwóch kopertach przysłała, po dwuletnim oczekiwaniu, skierowania na leczenie w sanatorium w Ciechocinku Marcinowi, a Marii w Inowrocławiu, i to w tym samym terminie. Okres letni, co małżonkom odpowiada, ale dlaczego oddzielnie.

– To jakiś wybitny specjalista, niezły dureń tylko tak mógł zaplanować – oceniła oburzona Maria.

– Może nie dureń, a tylko nie zauważył, że wnioski były złożone razem, w jednej koszulce foliowej, co dla nas jest oczywiste, małżonkowie chcą być razem. Tak myślę – spokojnie ocenił Marcin.

– Nie tłumacz mądrali, co siedzą tam w tym urzędzie nie wiadomo po co. A w ogóle to jest ich tam na pewno za dużo – oburzenie Marii rosło.

– Maryś, oj Maryś, nie złość się. Ja wierzę, uda się to odkręcić i będzie jak chcemy. Zobaczysz.

– Czyli potrzebne są negocjacje?

– Może nie aż negocjacje, ale mała prośba. NFZ jest w ostatnich latach przychylny. Spełni naszą prośbę i pojedziemy razem, jak zawsze od 50-ciu lat naszego sakramentalnego związku.

– Związek zostaw w spokoju, a głupków trzeba pouczyć, jak należy szanować ludzkie potrzeby. Niech najpierw pomyślą, co robią.

– Napiszę prośbę, oczywiście grzecznymi słówkami, bo krytykowanie może tylko zaszkodzić. Pójdę jutro do NFZ i złożę nasze pismo. Przekonasz się, że pojedziemy razem, nawet trzymając się za ręce – powiedział Marcin, uśmiechając się.

– Jesteś pewny? Najpierw załatw to, dowcipnisiu – ku zdziwieniu męża powiedziała łagodnie.

– Ależ oczywiście. O to bądź spokojna.

Marcin obudził się wcześniej niż zwykle. Spał niespokojnie. Śniły mu się obrazy przed okienkiem NFZ-tu, majaczyły treści pisma, którego jeszcze nie napisał, ale zrobi to teraz.

Tuż po 7-mej pismo było gotowe, a o 9-tej już podpisane przez oboje składał pani w okienku, zwracając przy tym otrzymane skierowania.

– Pan zwraca skierowania. Nie pytam dlaczego, bo możecie państwo zrezygnować, odmówić, ale to wiąże się pewnymi konsekwencjami – poinformowała pani z okienka numer 6 z nagłówkiem „Leczenie Sanatoryjne”. Okienek NFZ-tu w Oddziale było wiele i każde miało inny zakres usług.

– Chwileczkę. Proszę mi pozwolić, a wyjaśnię wszystko i wszelki komentarz będzie zbyteczny. Ale z ciekawości zapytam, dlaczego otrzymaliśmy z żoną skierowania do różnych sanatoriów i w różnych miejscowościach, aczkolwiek w tym samym terminie, skoro osobiście złożyłem wnioski w jednej foliowej koszulce – Marcin opowiedział z uśmiechem, jakim niegdyś w młodości czarował dziewczyny.

– Dlaczego? – zapytała nieco zaskoczona. – Bo czasem ludzie mają dużego psa i ktoś musi się nim zaopiekować.

– To w naszym przypadku odpada. Nie mamy ani psa, ani kota – odrzekł, wpatrując się w panienkę.

– Jest też tak, że mieszkają w domu, który trzeba ogrzewać, bo jest zima.

– To też odpada. Mieszkamy w bloku, a poza tym jest lato i na teraz mamy skierowania – prawda? – wzrokiem nie odpuszczał dziewczynie.

– Bywa również tak, że małżonkowie z długoletnim stażem chcą po prostu od siebie odpocząć – rozgrywała scenę już z drobnym uśmiechem.

Chyba chwyciła partnera do dyskusji. Cwana sztuczka, w myślach ocenił ją Marcin.

– W tym ustępie akurat się zgadzam, bo tak bywa. Ale, moja jaskółeczko – dziewczyna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, nikt dotąd tak jej nie nazwał – w naszym przypadku jest odwrotnie, ponieważ ciągle chcemy być razem i do sanatorium pojechać też razem. Proszę zatem przyjąć naszą prośbę. Mam nadzieję, będzie spełniona. Ale, ale zaimponowała mi pani komentarzami, brawo... – dodał na koniec.

– Gościu nie marudź – zawołał ktoś z oczekujących. Marcin uśmiechnął się z przekąsem do „gościa” i wyszedł z urzędu.

Po dwóch tygodniach Maria i Marcin otrzymali skierowania na trzytygodniowy pobyt do jednego sanatorium w tej samej miejscowości.

– Teraz wierzysz, że jest tak, jak chcemy? – zapytał z dumą.

– Też mi coś wielkiego. Nie wiem co, ale pewnie nieźle nałgałeś panience, bo nie uwierzę, że podszedłeś do okienka z mężczyzną – powiedziała przyglądając się mężowi.

Marcin oczekiwał pochwały, ale się zawiódł. Żona w pochwałach była bardzo oszczędna, za to w krytykowaniu aż nazbyt hojna.

– Powiedziałaś, że nieźle nałgałem. To nie tak. Po prostu się uśmiechałem, walcząc o swoje, przepraszam, o nasze sprawy, bo o twoje i moje. Wiesz, kiedyś usłyszałem, że uśmiech to przyjazne pozdrowienie bez słów, albo nawet, że jest to mowa odwagi wyrażanej życzliwym językiem, poeta powiedziałby, że to wyrażenie uczuć bez słów. Piękne, prawda? Ja po prostu wykorzystałem to zasłyszane.

– Teraz mnie czarujesz? Ale pomyśl, jak przygotować się do tego wyjazdu – przeszła do wydania poleceń.

– Mamy mnóstwo czasu, bo ponad miesiąc i spokojnie się przygotowujemy. Najpierw ustalimy, co może się przydać i zapiszemy na kartkach, ty na swojej, ja na swojej. Następnie wybierzemy z szaf i do walizek, zgoda? Pakowanie pójdzie jak z płotka – podszedł do żony, przytulił do siebie i pocałował w czoło.

– Właściwie, to ja nie mam co brać. Wszystkie moje ubrania to stare ciuchy, a obuwie to lepiej nie mówić i jak ja się ludziom pokażę – żaliła się głośno.

Zaczęło się. Narzekalizm i krytycyzm już daje znać o sobie. Jutro pewnie zapomni, co boli ją dziś, bo pamięć coraz mocniej ucieka, ale tak głośno, że mnie aż przygnębia – rozważał zmartwiony Marcin.

– Poprosimy naszą dziatwę, całą trójkę, i przyjadą, wybiorą z szaf gustowne suknie, spódnice, bluzki i to, co może być potrzebne. Oczywiście razem z tobą to, co ci się podoba.

– Zobaczymy, zobaczymy. To już ja sama nie mogę się spakować?

Nazajutrz rozpoczęła wybieranie z szaf zapełnionych na wcisk damską odzieżą. Mieszkanie szybko usiane zostało tym, czego ona nie ma. Ciężko oddychały krzesła, kanapa i stół pod ciężarem, jak określiła, „szmat”.

Na pytania, czy mam wziąć to i to, a może i to, Marcin odpowiadał: na razie wykładaj, potem zrobisz selekcję i co wybierzesz ostatecznie, to zapakujesz do walizki.

– Kochanie, masz jeszcze dużo czasu dla spakowania walizki. Możesz także zrobić solidne pranie. Jest teraz dobra pogoda, słonecznie, ciepło. To sprzyjające warunki.

– Mądry! Jak nic zostawicie mnie samą sobie z całym tym bałaganem. Może się mylę, co? – czekała na odpowiedź, świdrując wzrokiem męża.

– O, przepraszam, muszę jeszcze zdążyć przed zamknięciem poczty. Do diaska, noszę już parę dni awizo, zupełnie o nim zapomniałem.

Skłamał, aby przerwać dyskusję i wyszedł. Niech ochłonie, pomyślał, zamykając drzwi mieszkania.

– Uciekłeś, by mi nie pomóc – powitała go, gdy wrócił.

– Wyobraź sobie, można zwariować, przysyłają awizo przesyłki, której nie mogą znaleźć. A przecież co najmniej przez tydzień powinna czekać na odbiór – żalił się, brnąć w zmyśloną opowieść.

– Dla ciebie najważniejsza jest jakaś bzdurna przesyłka, a moje sprawy masz gdzieś.

A więc za wcześnie wróciłem. Może wyniosę śmiecie? – kombinował rozwiązanie, ale nie wyszedł.

– Każde z nas ma swoje sprawy. Ale uwierz mi, że ja staram się załatwić moje, twoje i nasze sprawy tak, żeby było dobrze. Nie o wszystkim cię informuję tylko dlatego, by cię nie martwić.

– O tak, na pewno.

– Pobyt w sanatorium i zabiegi usprawnią nas nieco, zrelaksujemy się, bo tam są warunki, jakich w domu nie mamy. Dobrze o tym wiesz... – tłumaczył Marcin.

– Czy uważasz, że ja nie widzę, co się wokół nas dzieje i nie rozumiem, jak mnie traktujesz?

– Kochanie, zaparzę kawę, a ty proszę zrób trochę miejsca, dla wygodnego „usięcia”.

– Mów poprawnie!

– Dobrze. Uwolnij dwa krzesła i kawałek stołu od... – zawiesił głos, pod karcącym spojrzeniem Marii.

– Aha, to już i to wszystko ci przeszkadza?

– Nie wszystko, nie wszystko, ale zrób miejsce – polecił.

– Jak ci przeszkadza, uprzątnij – powiedziała, siadając na stosie leżącym na kanapie.

– Dobrze. A oto i kawa, i wolne miejsca. Usiądźmy – powiedział łagodnie, gasząc wzburzenie.

Usiadła. Po chwili wyrzekła:

– Niezła ta kawa. Ty, jak chcesz, to umiesz zrobić coś dobrego – uśmiechnęła się.

Marcin uśmiechnął się także, a przez głowę przemknęła prośba: Boże daj cierpliwość, abym zdołał znosić i spokojnie gasić wybuchy jej nieprzyjemnych zachowań.

Przez tydzień kupki „ciuchów” leżały spokojnie, czekając na akcję pakowania. Kanapa, dwa krzesła i kawałek stołu na czas potrzeby były uwalniane od obciążenia. I tak było aż do przyjazdu córek, bo syn miał pilne ważne zajęcia, więc do rodziców nie przyjechał. Ekipa, czyli dwie córki, na pewno sobie poradzą i z matką, i z pakowaniem – już cieszył się Marcin.

Starsza córka wybierała ze stosów i z szaf „ciuchy”, pomagała je przymierzać i odkładała przydatne na jeden już mniejszy stosik, a młodsza ponownie przeglądała i zapisując na kartce radziła, co odjąć, a co dołożyć.

Marcin przyglądał się uważnie, czasem wtrącił swoje pięć groszy, surowo oceniane przez żonę.

– Lepiej nie wtrącaj się i stąd wyjdź – powiedziała, wskazując ręką kierunek.

Wyszedł posłusznie, zastanawiając się, jak to będzie w sanatorium, gdy będzie trzeba wyszukać cokolwiek z tego majątku w szafach przydzielonego pokoju.

Lekko po południu córki, pod bacznym nadzorem matki, pakowały do walizy, bo walizka średniego rozmiaru byłaby za mała i pod wieczór duża waliza została wypełniona i zamknięta na kłódkę. Dobrze, że jest z kłódką, bo w tych pociągach może być różnie, a nuż ktoś otworzy i rozbebeszy, a i może okraść – zawyrokowała matka.

– Zobaczymy, jaka będzie pogoda, może trzeba będzie jeszcze coś dopakować – dodała.

Marcin westchnął, spoglądając na walizę z kłódką i szybko skierował wzrok na telewizor z serialem na ekranie. Starsza córka, spostrzegłszy minę ojca, poprosiła go na słówko do drugiego pokoju, a młodsza zabawiała rozmową matkę.

– Wiesz co, tato, zróbmy tak. Zapakowaną i zamkniętą ustawimy na balkonie i zasłonimy kwiatami, macie ich tak dużo. Mama tam nie zagląda, mówi, że kwiaty to twój problem i w tym przypadku jest to dobre. Drugą mniejszą położymy obok odłożonych ubrań i powiemy mamie, że ma wybrane, co trzeba do zabrania i sama na pewno umie się spakować, bo my już musimy od was wyjść. Przed wyjazdem, gdy mama będzie się krzątać, podmienisz walizki i będzie jak należy.

– Chytry plan, ale niezły. Toś mnie zaskoczyła, sam bym czegoś takiego nie wymyślił.

– Tylko się nie wygadaj przypadkiem, że są dwie walizki, bo będziesz miał za swoje.

– Matka będzie jeszcze parę razy przepakowywać walizkę zastępczą, ale jakoś to zniosę.

– Gdyby wynikły jakieś problemy, daj znać i przyjedziemy ci pomóc. Uspokoimy mamę.

W dniu wyjazdu do sanatorium „wpadka”. Marcin wynosił walizę z kłódką z balkonu i wtedy pojawiły się trzy walizki, ponieważ leżała także jego walizka. Zobaczyła to Maria.

– Ktoś jeszcze jedzie z nami? – zapytała, nerwowo marszcząc brwi.

– Nikt – odpowiedział Marcin zdecydowanie.

– To skąd trzy walizki? Bierzesz dwie?

– Biorę jedną, a ty bierzesz tę z kłódką. Trzecia to ta z odrzuconymi rzeczami, którą dziewczyny zapomniały włożyć na regał – zrzucił winę na córki i poczuł się jak tchórz, kłamiący ojciec.

– Widzę, że dałam się wykołować, choć przeczuwałam spisek. Tak się, córeńki, matce nie robi – westchnęła, rzucając spojrzenie na męża. Przypuszczała, że i on brał udział w tym spisku.

Jeszcze raz spojrzała z żalem na męża. Poczuł się winny, mimo że działał w dobrej sprawie. Nawet nie próbował wytłumaczyć, dlaczego tak się stało, gdyż obawiał się kłótni.

– Chodźmy na dworzec, lepiej poczekać na peronie niż się spóźnić – powiedział, nabierając powietrza i z poczuciem zwycięstwa zamknął drzwi mieszkania.

– Popatrz, jakie to chytruski te nasze... – jeszcze próbowała drażnić temat walizek.

– Chodźmy, Maryniu... Chodźmy.

Kochane i mądre mamy dzieci. A mnie pomogły, bardzo pomogły, pomyślał Marcin i cicho się uśmiechnął z radości, podążając za żoną na dworzec kolejowy.

**M i r o s ł a w K o s s a k o w s k i**

---

---

## JUBILEUSZ

Marek obudził się bardzo wcześnie jak na emeryta. Dochodziła dopiero ósma. Teresa jeszcze smacznie spała. Popatrzył na nią z czułością. Pomimo dość podeszłego wieku czas nie poczynił w jej urodzie zbyt wielkich spustoszeń. Na poduszce rozsypane były siwe, ale zdrowe i miękkie włosy, które tak bardzo mu się zawsze podobały. Podparł się na łokciu i patrzył na śpiącą. – Moja kochana kobieta – skonstatował. I nagle zdał sobie sprawę, że dziś, właśnie dziś mija pięćdziesiąt lat, jak ślubowali sobie wierność! Po cichutku wstał, żeby nie budzić ukochanej i postanowił dać wyraz swojej dozgonnej miłości. Zastanawiał się chwilę, jak ten dzień uczcić. Co zrobić, żeby pani jego serca poczuła się dowartościowana, ale w tej chwili nie miał żadnego pomysłu. Zdecydował, że póki co skoczy do sklepu po świeże bułeczki, kupi dobre wino i oczywiście kwiaty. Ubrał kurtkę i starając się nie narobić hałasu wyszedł na zewnątrz. Zazwyczaj zakupy robiła żona. Starła się kupować poprzedniego dnia, żeby nie stać rano w kolejkach. Ludzie spieszący do pracy kupowali szybko i nerwowo. Nierzadko zdarzały się jakieś przepychanki i kłótnie. Marek tego nie wiedział. Wybrał pieczywo i kilka innych produktów, które wpadły mu w oko oraz poszukał na półce dobrego wina i z pełnym koszykiem ustawił się w kolejce do automatu. Trwało to dość długo, bo ludzie śpieszyli się i popełniali błędy przy wprowadzaniu kodów. Przez to trzeba było często prosić o pomoc obsługę. Jakoś w końcu jego kolej doszła i choć także wybrał nie te bułki, które wskazał na wykazie pieczywa, po kilku poprawkach udało mu się zakończyć transakcję i spocony jak mysz wyszedł na zewnątrz. Po drodze wstąpił do kwaciarni, którą dopiero co otwierano i poprosił o siedem czerwonych róż. Sprzedawca przeproszał, że ma na razie tylko towar wczorajszy, bo dziś jeszcze nie dotarł transport, ale że owszem, ma czerwone róże i zaraz szanownemu panu zapakuje. Marek zapłacił, ale już zmęczony i głodny, bo przecież nie jadł śniadania, wrócił do domu. Otworzył drzwi i zdziwił się, że Teresa już na nogach, a w kuchni coś smakowicie pachnie.

– A gdzieś ty chodził? – przywitała go ostro.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. O, tu są dla ciebie kwiaty. Proszę.

Teresa otworzyła szeroko oczy.

– Kwiaty? Dla mnie? A co przeskrobałeś? – popatrzyła nie dowierzając. Wzięła bukiet i ledwie odwinęła papier, na podłogę posypały się płatki czerwonych róż. Zdziwiona spojrzała na męża. Ten stał z głupią miną.

– A to swołocz! – zakrzyknął – żeby sprzedać takie kwiaty! Już ja mu pokażę!

– Spokojnie. Ale wytłumacz dlaczego je kupiłeś? Nie mam dziś ani imienin, ani urodzin! I zakupy widzę! Ho! Ho! To coś poważnego chyba?!

– Tak, Tereniu. Pięćdziesiąt lat temu oddałaś mi swoją rękę i serce! I ja chciałem Ci w ten sposób podziękować za te wspólne lata. Pamiętałem! Widzisz!

– Och! Marku! Mój ty kochany Misiu! A ja byłam zła, że gdzieś cię z samego rana poniosło. Wybacz. Faktycznie to dzisiaj jest nasz jubileusz. Uczymy go jak należy. A na razie siadaj do śniadania, zapraszam.

Róże, z których zaledwie dwie się trzymały jako tako, wstawiła do wazonu. Marek zły, że dał taką plamę, jadł w milczeniu, obiecując sobie zaraz po śniadaniu wrócić do kwaciarni i zażądać zwrotu pieniędzy. Tymczasem zadzwonił telefon. Teresa odebrała i zaskoczona, ale i zadowolona dziękowała za życzenia z okazji ich jubileuszu. Dzwonił syn, który pamiętał, by złożyć rodzicom gratulacje wytrwania w związku aż pięćdziesiąt lat!

– A to wam jeszcze wręczą medale za długoletnie pożycie małżeńskie – mówił śmiejąc się – Moje małżeństwo niestety przetrwało tylko pięć lat, dłużej się nie dało – powiedział z nutką przykrości.

– A bo wy młodzi jesteście niecierpliwi i niewyrozumiali dla siebie – powiedziała matka.

– No, synu, ja kilka razy już, już! byłem blisko rozwodu. Ale Tereska zawsze umiała zażegnać nieporozumienie. To jej muszę po latach przyznać, bez chwalenia się, że to ja taki dobry mąż jestem.



Po miesiącu otrzymali pismo z Urzędu Stanu Cywilnego z zapytaniem, czy życzą sobie nadania medali przez Prezydenta RP. Podany był telefon i prośba o potwierdzenie w terminie do trzech tygodni – jeśli sobie życzą. Sprawa niby błaha, ale zawsze to miło. No i jest okazja do świętowania. Bez uroczystego obiadu się nie obejdzie. Marek już obmyślał, kogo zaprosić i jakie alkohole kupić. Tereska wyszukiwała w książce kucharskiej jakieś nadzwyczajne dania na ten obiad. Przez kilka dni żyli tylko tą sprawą. A czas sobie płynął. Gdzieś po miesiącu, kiedy nie było wciąż informacji, co z tym odznaczeniem, otrzymali list z Warszawy, z Biura Odznaczeń i Nominacji, z gratulacjami oraz drugi list, z gratulacjami od samego Prezydenta Andrzeja Dudy!

No teraz to już i Marek i Tereska stracili głowę! Teresa od rana biegła po sklepach, szukając jakiejś kreacji na tę okazję. Zamówiła kolejkę w salonie kosmetycznym na manicure i pedicure oraz masażę wygładzającą. Umówiła się z fryzjerką, która jej obiecała wystrzałową fryzurę. Ale zaproszenia do Urzędu Stanu Cywilnego wciąż nie było.

– Chyba nie odnotowali, że wyraziliśmy zgodę – martwił się Marek.

– Oni mają takich par bardzo dużo, więc my zostaliśmy pewnie przeoczeni – wtórowała mu Tereska – a ja wydałam już tyle kasy na sukienkę, i buty... i na kosmetyczkę... – narzekała.

– Oj, to będziesz miała na inną okazję, ale co z uroczystym obiadem? Ludzi się poinformowało, a termin się odwleka.

– No to trudno, nie będziemy czekać na medale. Zrobimy obiad w tę niedzielę i sami z rodziną i przyjaciółmi uczymy nasz jubileusz.

Po czym Tereska rzuciła się do telefonu, aby obdzwonić wszystkie osoby, które chcieliby widzieć w swoim domu. Trochę głupio im było tłumaczyć zaproszonym gościom, dlaczego miały być medale, a ich nie ma, ale obiad wypadł świetnie. Jeden z krewnych przyniósł nawet akordeon i można było trochę potańczyć. Mieszkania w bloku nie są duże, to z tymi tańcami było trudno. Jednak pomysłowi goście płci męskiej wpadli na pomysł, aby usunąć szafki z przedpokoju, wynosząc je do sypialni i po dwie pary naraz mogło tańczyć. Zabawa trwała do późnych godzin nocnych – jak wesele to wesele! Na drugi dzień Marek leczył kaca, a Tereska usuwała skutki balangi. O medalach już przestali w ogóle myśleć. Nie dali, to nie trzeba.

Minęło pół roku. Kiedy się wcale już nie spodziewali, przyszło zaproszenie z datą i godziną oraz miejscem, gdzie odbędzie się uroczystość wręczenia medali. I nie był to USC przy Urzędzie Miejskim, a najpiękniejsza sala w mieście, w zabytkowym pałacu, w której odbywały się koncerty i inne kameralne uroczystości. Tereska z Markiem na nowo wpadli w wir przygotowań. A więc na nowo fryzjer, kosmetyczka itp.

Nadszedł wreszcie tak oczekiwany dzień. Teresa w pięknej bladuróżowej sukni z upiętymi w fantazyjny kok włosami, lśniąca od biżuterii, Marek w jasnym garniturze z białym goździkiem w butonierce – zjawili się w pałacu. Najpierw, zupełnie jak widzi się w TV np. na rozdaniu Oskarów, trzeba było wejść po krętych schodach wyłożonych czerwonym dywanem na pierwsze piętro. Tam powitała ich obsługa uroczystości, sprawdzono nazwisko i zaprowadzono na przeznaczone dla nich miejsca. Taką procedurę stosowano do wszystkich par. Krzesła były ustawione dookoła sali i wszystkie pary mogły na siebie patrzeć i podziwiać się nawzajem. Następnie były przemówienia i gratulacje od prezydenta miasta oraz innych osobistości. Potem odbył się minikoncert. Po koncercie odczytywano nazwiska wszystkich par. Ludzie wstawali i kłaniali się, a po zakończeniu prezentacji prezydent, wraz z osobami mu towarzyszącymi i pomagającymi, rozpoczął wręczenie medali. Polegało to na przypięciu go do garderoby, wręczeniu dyplomu i wiązanki kwiatów oraz uścisku ręki. Tych par było chyba ze czterdzieści, więc przypinanie trochę się przedłużało. Jednocześnie powstał mały bałagan, bo razem z jubilatami przybyły też ich rodziny. Wszyscy chcieli zrobić pamiątkowe zdjęcia swoim bliskim i pragnęli być jak najbliżej nich. Zaczęli się więc przepychać między sobą. Nie obyło się bez incydentów. Jednemu jubilatowi jakiś młodzian, robiąc zdjęcie swojej babci ponad jego głowę, niechcący zaczął guzikiem od mankieta za włosy, przez co zerwał mu z głowy „tupecik”. Inny incydent, też niezbyt przyjemny, zdarzył się, kiedy pewna jubilatka za szybko zerwała się z miejsca, wystawiając pierś do odznaczenia i pękły jej na pupie zbyt obcisłe spodnie. Ale tłum kłębił się wkoło, więc nie wzbudziło to nadmiernej sensacji.

Na koniec znowu zabrał głos prezydent. Jeszcze raz pogratulował i podziękował za przybycie. Rozniesiono na tacach kieliszki z szampanem i wszyscy wypili toast. Cała uroczystość

trwała ponad dwie godziny. Dla starszych ludzi wysiedzieć tyle czasu to był problem. Jak tylko ogłoszono zakończenie, większość par rzuciła się do wyjścia w poszukiwaniu toalet. Niektórzy udawali się do prezydenta, aby zrobić sobie z nim pamiątkowe zdjęcie. Tłumy ludzi schodzących i wchodzących po stromych i krętych schodach spowodowały, że trudno było się przecisnąć. W dodatku dywan nie ułatwiał schodzenia. Powstał korek, bo niektóre osoby musiały trzymać się nie tylko poręczy, ale i partnera. Ponadto część osób kręciła się w tę i w tę, szukając toalet.

Markowi i Teresce jakoś udało się w końcu zejść i kiedy znaleźli się już w swoim samochodzie, oboje wreszcie odetchnęli i wybuchnęli śmiechem. Po jakimś czasie dołączył do nich syn, oznajmiając, że ma zdjęcia i że wysła im na komputer, aby sobie jeszcze raz wszystko obejrzeni.

– Ale impreza! Szkoda, że nie zaprosiliśmy naszych znajomych – stwierdził Marek.

– Daj spokój! I tak były tłumy. Mnie ten medal zrobił dziurę w sukience. Ciężki jest, a sukienka z cieniutkiego materiału... – zmartwiła się Tereska.

– A co zrobimy z tymi medalami? – zapytał Marek

– Nic – odparła Teresa – schowamy w szufladzie, a dyplom możesz sobie powiesić nad łóżkiem, żeby ci przypominał ten dzień.

– No tak. Ogólnie to było fajnie. Będzie co opowiadać kiedyś wnukom – podsumował Marek.

## WISIOREK

### I.

Listopadowa noc zapadła bardzo szybko. Padał deszcz ze śniegiem. Wiatr szarpał nagie gałęzie drzew. Nieliczni przechodnie, skuleni od zimnych jego porywów, przemykali ulicami, spiesząc do swoich domów. Jakaś postać owinięta kraciatą chustą, jaką dawniej nosiły wiejskie kobiety, z dużym tobołkiem przed sobą, szła nieśpiesznie, a właściwie wlokła się do przystanku autobusowego. Nie miała chyba dość siły, aby dźwigać swój ciężar. Dobrnawszy z trudem do przystanku usiadła na ławce i czekała. Nadjechał jeden autobus, potem drugi, a ona ciągle czekała. Nadjechał kolejny i wsiadła. Nie kasując biletu zajęła miejsce na samym jego końcu. Spod nasuniętej na oczy chusty omiotła wzrokiem współpasażerów. Autobus był prawie pusty. Jechało zaledwie kilka osób. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Po przejechaniu paru przystanków wysiadła i poszła w górę wąskiej i zupełnie pustej o tej porze ulicy. Szukała wzrokiem jakiegoś numeru domu. Światła rzucane z wystaw pozamykanych sklepów ukazały bladą wymizerowaną twarz i płonące gorączką, podpuchnięte od płaczu oczy. Już z dala go dostrzegła. Duży numer osiem nad drzwiami domu i jasno oświetlone okno na parterze. Postać jakby nabrała siły, bo zbliżyła się szybko, pociągnęła za klamkę okna, wydobyla spod chusty zawiniątko i pośpiesznie włożyła je do środka. Po czym, nie oglądając się za siebie, prawie biegiem ruszyła z powrotem.

### II.

Minęło 25 lat.

Anna dostała skierowanie do sanatorium. Bardzo cieszyła się na ten wyjazd. Od dłuższego czasu zdrowie jej szwankowało, szczególnie dokuczał ból kręgosłupa. Liczyła, że zabiegi sanatoryjne poprawią stan zdrowia i kondycję fizyczną. Była wyczerpana długą chorobą nowotworową męża i jego odejściem przed paru miesiącami. Nie miała właściwie rodziny. Mąż był jedyną jej ostoją i przyjacielem. Starszy od niej o trzynaście lat, rozumiał ją i wspierał we wszystkich sprawach. Dzieci nie mieli, więc kiedy odszedł, poczuła się bardzo samotna. Koleżanki z pracy nie przepadały za nią. Niechętnie bowiem brała udział w biurowych plotkach. Nie opowiadała o sobie. Przeważnie milczała, skupiona na swojej pracy. Kiedy okazało się, że mąż ma raka, stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie. Współczuły jej i starały się pomagać w miarę możliwości. Rzadko kiedy jednak prosiła o pomoc. Po jego śmierci poradziły, aby pojechała do sanatorium. Pomyślała, że to jest dobry pomysł. Potrzebowała odpoczynku i zmiany środowiska. Odliczała tygodnie i dni snując się po mieszkaniu, porządkując ubrania i różne przedmioty pozostałe po mężu. Bardzo jej go brakowało, toteż każda rzecz wyciskała na nowo łzy. Nadszedł

wreszcie czas wyjazdu. Wcześniej nigdy sama nie wyjeżdżała. Wszędzie jeździli razem. Po przybyciu na miejsce ucieszyła się, bo dostała pokój na parterze tuż przy gabinetach zabiegowych. Zabiegi zaczynały się następnego dnia od siódmej rano gimnastyką w basenie. Dobrze, że koleżanki poradziły, aby zabrała kostium kąpielowy. Pierwszy dzień upłynął na małym zamieszaniu, spowodowanym szukaniem właściwych gabinetów oraz wdrażaniem się do rytmu życia sanatoryjnego. Rehabilitantki były bardzo miłe i profesjonalne. Najbardziej podobał jej się masaż pleców oraz kompresy z borowiny. Przyjemnie było czuć, jak napięte mięśnie powoli się rozluźniają. Miała jeszcze kilka innych zabiegów. Któregoś dnia, kiedy poszła na krioterapię, zastała inną dziewczynę niż ta, która obsługiwała ją poprzednio. Wszyscy pracownicy nosili plakietki z imieniem i nazwiskiem. Spojrzała na plakietkę, aby wiedzieć, jak się ma do niej zwracać i poczuła w gardle coś jak sople lodu. Miała na imię Melania! Melania Kozłowska. Podłączając azot spostrzegła, że pacjentka jakoś dziwnie jej się przygląda.

– Wszystko w porządku? Nie za zimno? – zapytała.

– Nnie – zdołała wykrztusić Anna. – Ma pani takie... niedzisiejsze imię...

– Ach, tak. Proszę mi mówić Mela. Tak będzie prościej – odpowiedziała.

– Chyba tak. A jeśli wolno spytać, skąd pani pochodzi?

– Z Białegostoku – odparła. – Mama urodziła mnie w dość późnym wieku i pewnie stąd takie staromodne imię – roześmiała się wesoło.

Anna była trochę wytrącona z równowagi. Przypomniała jej się tamta listopadowa noc. Czyżby to była „jej” Mela? Wiek by się zgadzał. Nie śmiała o nic więcej pytać. Zresztą, czy miała do tego jakiegokolwiek prawo? Po powrocie do swego pokoju długo nie mogła się uspokoić. Po raz setny rozważała, czy postąpiła właściwie? Musiała tak zrobić. Nie było innego wyjścia. Nie miała warunków, aby zatrzymać dziecko przy sobie. Wynajmowała wtedy pokój u starszej kobiety. Była na ostatnim roku studiów. Chłopak, z którym chodziła, wspinał się właśnie po szczeblach kariery. Od dwóch lat pracował w jakiejś zagranicznej firmie i ewentualna żona, a do tego jeszcze dziecko, przeszkodziło by mu w zdobyciu wymarzonego stanowiska. Widocznie niezbyt mocno był zaangażowany uczuciowo, bo kiedy dowiedział się, że Anna jest w ciąży, po prostu ją zostawił. Anna nie pracowała. Pieniądze na opłacenie mieszkania i utrzymanie otrzymywała od rodziców. Bardzo surowych, szczególnie ojciec. Toteż nie wsparli dziewczyny, kiedy pojechała do nich podzielić się zmartwieniem. Ojciec strasznie się rozgniewał i dosłownie wygnał ją z domu.

– Nawarzyłaś sobie piwa, to je teraz pij! – krzyczał. – To my tu każdy grosz ci posyłamy, żebyś się wykształciła, a ty szlajałaś się z fagasami! I co? Teraz nawet nie chce cię żaden znać, tak? A co ze studiami? Tyle forsy poszło w błoto?!

– Ależ tato – próbowała się bronić – ja się nie szlajałam z fagasami...

– Miałaś studiować, a nie szukać kochasiów! – przerwał jej ojciec. – Niech cię teraz utrzymują! Ja nie dam już złamanego grosza! Zawiodłem się na tobie! Taki wstyd! Cała wieś będzie nas teraz wytykać palcami! Nie przyjeżdżaj tu! Nie będę świecić oczami przed ludźmi!

Anna poczuła, jak grunt usuwa się spod jej nóg. Matka też nie stanęła w jej obronie. Podzielała stanowisko ojca. Patrzyła tylko gniewnie na córkę i kiwała głową. Co więc mogła zrobić? Spakowała parę książek i trochę rzeczy osobistych do płóciennej torby i stojąc już w drzwiach z oczami pełnymi łez powiedziała: – Przepraszam was za wszystko. I dziękuję. Może kiedyś będę mogła zwrócić wam te wyłożone na mnie pieniądze. Żegnajcie.

I z ciężkim sercem wyszła z rodzinnego domu. Nikt za nią nie zawołał, nie zawrócił. Poczuli się tak podle, że chciała pójść nad rzekę utopić się. Jednak nie była już sama. Nie mogła myśleć tylko o sobie. W jej brzuchu biło maleńkie serduszko dziecka. Wróciła do swego wynajmowanego pokoiku, samotna, przez wszystkich opuszczona. Rozpłakała się. Tak głośno szlochała, że usłyszała to pani Wanda, właścicielka mieszkania. Weszła po schodach na górę i stanęła pod drzwiami nasłuchując. W końcu nie wytrzymała i zapukała. Anna nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc kobieta sama uchyliła drzwi.

– A tobie co się stało? Ktoś zmarł?

Dziewczyna przestraszyła się, że i z tej strony może ją spotkać coś strasznego. Nie dała rady jednak nic powiedzieć, tylko szlochała. Pani Wanda popatrzyła na tę kupkę nieszczęścia i wyszła. Po paru minutach wróciła z kubkiem parujących ziół.

– Wypij to, proszę. Uspokój się i wszystko mi opowiedz, bo choć to nie moja sprawa, ale żal mi patrzeć na ciebie.

Anna z wdzięcznością wzięła drżącymi rękoma kubek i upiła trochę. To spowodowało, że jej kiszki gwałtownie zareagowały. Od rana nie miała nic w ustach, a był już wieczór. Kobieta usłyszała i zrozumiała, że dziewczyna jest głodna, zaproponowała:

– Jeśli chcesz, poczęstuję cię rosółem, który mi został z obiadu, bo słyszę, że jesteś głodna.

Ta wypowiedź wywołała u Anny nowy wybuch płaczu. Obca kobieta okazuje jej więcej serca niż rodzona matka. No tak, ale jeśli się dowie, jaki jest problem, może też wygoni ją z domu. A wtedy to już tylko się utopić. No cóż, zaryzykuje – i tak nie ma wyjścia. Piła powoli napój i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na kobietę.

– Chodź na dół – poleciła Annie – może znajdziemy jakąś radę, jeśli mi zaufasz i opowiesz, co się stało. Anna powłócząc nogami, roztrzęsiona i bezradna powlokła się za gospodynią. W kuchni pani Wanda podgrzała rosół. Dziewczyna zjadła i chyba zadziałały wypite przedtem zioła, bo już spokojniej powiedziała:

– Bardzo pani dziękuję. Jest pani dobrą kobietą, ale ja chyba nie zasługuję na nic dobrego. Nie wiem, jak mam postąpić. Byłam w domu myśląc, że rodzice mi pomogą, ale zawiodłam ich, a oni teraz nie chcą mnie znać.

I Anna opowiedziała pani Wandzie wszystko, co ją spotkało.

– A najgorsze jest to, że teraz nigdzie do pracy mnie nie przyjmą, a nie mając pieniędzy od rodziców nie będę mogła płacić pani za mieszkanie. I pani pewnie mi je wymówi. Za parę miesięcy mam obronę pracy magisterskiej. Nie mam nikogo, kto by mi teraz pomógł... – po czym rozplakała się na nowo.

Pani Wanda przez dłuższą chwilę milczała, w końcu się odezwała:

– Jak widzisz, jestem już stara i sama. Nie mam wnuków. Mój syn zajęty biznesem odwiedza mnie rzadko. To, że tu zamieszkałaś, było mi na rękę. Mam już swoje lata i ciężko mi chodzić. Nawet w czasie choroby dobrze jest mieć kogoś obok. Zawrzyjmy więc umowę: ty będziesz mi pomagać w obowiązkach domowych, robić zakupy, załatwiać różne sprawy, takie jak opłaty itp. w zamian za mieszkanie. Do czasu skończenia studiów i rozwiązania. Bo chyba nie zamierzasz dokonać aborcji? – zapytała z przerażeniem.

– Nie! Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Jest pani aniołem, nie wiem jak ja się pani odwdzięczę! Dziękuję z całego serca! Postaram się jednak znaleźć jakąś pracę. Może uda mi się pogodzić ją ze studiami. Dodała mi pani wiary, że nie wszyscy ludzie są bezduszni.

Wstała, objęła panią Wandę i ucałowała.

Jednak los, pomimo że dał jej światełko nadziei, nie wyczerpał jeszcze wszystkich złych kart. Obroniła pracę, skończyła studia i choć już z dużym brzuchem, uparcie szukała zatrudnienia. W październiku zrobiło się mroźno. Na chodnikach leżały opadłe liście, które zmarznięte stanowiły niebezpieczeństwo utraty równowagi. W taki dzień pani Wanda musiała udać się do przychodni. Ledwie wyszła z domu, poślizgnęła się i upadła tak niefortunnie, że złamała sobie kość udową. Przechodnie wezwali karetkę, która odwiozła ją do szpitala. Lekarze nie bardzo mogli cokolwiek z tym złamaniem zrobić. Leżała w szpitalu, a Anna odwiedzała ją codziennie. Syn też, choć rzadko, ale starał się matkę odwiedzać. Niestety, do złamania dołączyło zapalenie płuc i pani Wanda zmarła. Po jej śmierci syn, nie licząc się ze stanem Anny, która mogła w każdej chwili urodzić, chciał jak najszybciej sprzedać mieszkanie. Nie było mowy o dalszym wynajmowaniu „za darmo”. Anna uprosiła swoją koleżankę ze studiów, aby pozwoliła jej pomieszkać ze sobą, dopóki nie znajdzie jakiegoś lokum. Jednak przeżycia ostatnich tygodni i konieczność wyprowadzki podziałała na dziewczynę tak, że w połowie listopada urodziła. Na szczęście poród odbył się bez komplikacji i po kilku dniach mogła wyjść ze szpitala. I cóż ona mogła zrobić? Koleżanka też nie chciała, aby dalej mieszkała u niej z dzieckiem. Bez pracy, bez mieszkania, bez pieniędzy i bez jakiegokolwiek wsparcia rodziny, pomyślała, że najlepszym rozwiązaniem będzie oddać dziecko. Choć serce się jej ścisnęło i wylewała potoki łez, nie było innej rady. Zawinęła dziecko w kocyk, napisała na kartce datę narodzin, imię Melania oraz parę słów, że nie ma innego wyjścia i że prosi Melę o wybaczenie jej tego czynu, po czym włożyła kartkę do środka. Wsunęła tam jeszcze jedyną cenną rzecz, jaką miała, srebrny wisiołek z dużym bursztynem, który podarował jej kiedyś na początku znajomości

ojciec Melanii. Tak wyposażoną córkę w mroźną i ciemną noc zaniósł do „okna życia”. Specjalnie nadała takie imię dziewczynce, aby być może kiedyś móc ją odnaleźć.

Po latach, kiedy życie się jej jakoś ułożyło, próbowała odnaleźć dziecko, ale wtedy dowiedziała się, że Mela została adoptowana przez dobrze sytuowane małżeństwo, że kochają ją jak własną córkę i że nie powinna już tego psuć. Dla dobra dziewczynki postanowiła nie burzyć jej życia. A teraz spotyka ją! I nie wie, co powinna zrobić! Z jednej strony chciałaby się do wszystkiego przyznać. Wziąć dziewczynę w ramiona i uściskać. Z drugiej, jeśli Mela nic nie wie o adopcji, to będzie dla niej okropny szok. Ale też naszły ją wątpliwości: a jeśli to tylko zbieg okoliczności? Jeśli to nie jest jej Mela? Samo imię o niczym nie świadczy. Wprawdzie było jakieś podobieństwo do ojca, ale czy na pewno? Nie mogła spać, nie mogła jeść, chodziła jak błędna, wyszukując, gdzie by mogła spotkać dziewczynę, żeby choć na nią popatrzeć. W końcu rehabilitantki zauważyły jej dziwne zachowanie. Jak tylko Mela była gdzieś w pobliżu, była tam też Anna. Któregoś dnia podczas zabiegu Meli wysunął się spod bluzki wisiorek. Teraz już była pewna! Nie mogła stłumić szlochu, jaki wyrwał jej się z piersi. Mela przestraszyła się.

– Co pani się stało? Czy coś zrobiłam źle?

– Ach, Melu. Wybacz mi. Jesteś taka podobna do mojej córki... i ten wisiorek... ona też taki miała...

– Taki sam? To dziwne. Ja widzę od dłuższego czasu, że pani mnie obserwuje. Dlaczego? I teraz te łzy...? Ja nie rozumiem...

Anna starała się opanować drżenie głosu.

– Miałam też kiedyś córkę, Melę... – wyszeptwała.

– I co się z nią stało?

– Umarła... Dla mnie już ona umarła – powiedziała, obejmując przestraszoną dziewczynę.

**Janina Jakoniuk**

---

**Tadeusz Ruffiński**

## STÓŁ

[Dokończenie].

Stół pełnił niepoślednią rolę w czasie Świąt, zarówno Wielkanocnych, jak i Bożonarodzeniowych. Ale zanim przejdę do specjalnego nakrycia i specyficznej atmosfery Wigilii, parę słów o świątecznych przygotowaniach. O tych kulinarnych już pisałem, pora teraz na przygotowania choinkowe. Drzewko, jak to w rodzinie leśnika, zawsze było pięknym świerkiem, specjalnie wybranym i dopasowanym wysokością do naszego dużego pokoju. Ale zanim choinka znalazła się w domu, znacznie wcześniej, gdzieś na początku adwentu zaczynały się prace nad dekoracją. W domu były dwa pudełka z chyba jeszcze przedwojennymi bombkami. Najstarszy był szklany zegarek wskazujący godzinę dwunastą oraz Mikołaj i złocisty szpic. Najpiękniejsze i budzące podziw odwiedzających nas kolegów były bombki z reflektorkiem, czyli srebrzystym zagłębieniem. Pozostałe bombki były jednobarwne, wielkości małego jabłka, ale w tamtych czasach wydawały się przepiękne. Na świerku było oczywiście dużo wolnego miejsca, więc wieczorami siadaliśmy za stołem i cała rodzina robiła „choinkowe cacka”. Na wydmuszkach jajek malowaliśmy kolorowe buzie, a przyklejona spiczasta czapka zamieniała je w pajacyki. Na innych wydmuszkach naklejaliśmy gwiazdki wycięte z cynfolii i barwne cekiny, potem trzeba było przemyślnie umocować nitkę i bombka była gotowa. Za ozdobę służyły także włoskie orzechy owinięte czekoladowym sreberkiem i czerwone rajskie jabłuszka. Znacznie więcej pracy wymagały łańcuchy z kawałków pociętej słomy i kolorowych bibułkowych kokardek. Z kolorowego papieru robiliśmy także koszyczki, a z zapalczanych pudełek domki. Jako ozdoby służyły również szczególnie ładne okazy świerkowych i sosnowych szyszek, wyszukanych w sąsiedniej wyluszcarni. Na świerku wisały także długie, okrągłe cukierki w błyszczących papierkach. Mama w ostatnim tygodniu

piekła specjalne, przeznaczone na choinkę ciasteczka z dziurką. W domu był komplet blaszanych foremek służących do wykrawania gwiazdek, rombów, zębatych kółek, aniołków i czegoś, co zależnie od fantazji było psem lub świnką. Któregoś roku w świątecznej paczce z Anglii przywędrował wspaniały papierowy anioł i rozkładana kula z bibułki.

Jak daleko sięgnę pamięcią w przeszłość, choinkę ubierali Rodzice w noc po Wigilii. Gdy budziliśmy się rankiem w pierwszy dzień Świąt, stała piękna i kolorowa, z podarunkami ukrytymi pod najniższymi gałęziami. Wieczorem zapalało się świeczki, było ich dwadzieścia, bowiem tyle mieliśmy specjalnych podstawek. Ze świeczkami każdorazowo był ambaras, bowiem musiały być zamocowane tak przemyślnie, aby nie przekrzywiały się i nie podpaliły „anielskich włosów” ani bibułkowych łańcuchów. Oczywiście, świeczki były różnokolorowe, gładkie lub ze spiralnie skręconymi rowkami.

Świąteczne wieczory jakoś szczególnie głęboko utkwily mi w pamięci.

Cała Rodzina gromadzi się w dużym pokoju, gdzie stoi choinka. W święta oczywiście jest napalone w piecu i nawet Kinia rozciąga się na podłodze, w plamie światła padającego przez uchylone drzwiczki. Palą się wszystkie świeczki na choince, ich płomyki chylą się w powiewie, jaki ciągnie od okna. Stoimy wszyscy, cała piątka, obok ciepłego pieca, po ścianach krążą migocące cienie. Śpiewamy kolędy, podjadamy co lepsze choinkowe łakocie. Babcia opowiada o dawnych świątecznych zwyczajach. O tym, jak to było w Piaskach, Zbójnej i w Rosji. To jest czas bardzo osobistego poczucia wzajemnej bliskości. Czas jakiejś symbolicznej tajemnicy, która kryje się w słowach i melodiach kolęd, blasku świec, bieli obrusa na stole i zieleni świerkowych gałązek. Na to wszystko nakłada się symfonia świątecznych zapachów. Ziołowa woń Wigilijnego sianka, które jeszcze leży pod obrusem, zapach choinki, palącej się świecy, drewna potrzaskującego w palenisku i zimnych ogni. Do tego dochodzą zapachy świątecznych potraw, płynące z kuchni przez uchylone drzwi. Czasami pojawi się nutka zapachu pomarańczy lub cytryn, które dotarły w paczce z Anglii. Wszystko to składa się na wyjątkową, niepowtarzalną atmosferę łochowskich Świąt. Potem, aż do Sylwestra, po mieszkaniach chodzili kolędnicy z szopką i gwiazdą. Śpiewali kolędy i zadowalali się poczęstunkiem z kawałka wędliny, kółka kielbasy i jakiegoś ciasta. Ci młodszy dostawali dodatkowo po kilka cukierków.

Wielkanoc zapamiętałem jako święto nieco mniej romantyczne. Może dlatego, że brakowało kolęd i zapachy nie były tak intensywne. A może po prostu dlatego, że na Boże Narodzenie, w zimnie i chłodzie grudniowej nocy, wszyscy byliśmy tak blisko siebie. Bezpieczni w jasności światła padającego od choinki i ciepłe pieca. Ale wielkanocne śniadanie też było piękne i uroczyste. Jakże kusząco, po dniach postu, pachniały wtedy szynki i babciny pasztet, a jak smakowały! Na środku stołu królował cukrowy baranek z długą czerwoną chorągiewką. Stał zazwyczaj na doniczce obrośniętej zieloną rzeżuchą, a wokół pyszniły się wielobarwne jajka. Jajka malowało się w Wielki Piątek, oczywiście przy użyciu „ekologicznych” barwników. Zieleń uzyskiwało się z młodych pędów żyta, czekoladowy brąz z olchowych szyszek, wszystkie odcienie żółci z cebulowych łupin, czerwień zdaje się z dębowej kory, a fiolet dawała sinka do bielizny. Oczywiście, kolory można było łączyć, a na ufarbowanych jajkach wyskrobywać wzory lub stosowne napisy. Lany poniedziałek raczej nas omijał, bowiem nie zapuszczaliśmy się pomiędzy opłotki Budzisk, gdzie oblewano się „po wiejsku”, czyli wiadrami wody. Na naszym Stefaninie odbywało się to „po miejsku”, czyli przy użyciu gruszki do lewatywy lub rowerowej pompki. O wielkanocnym strzelaniu napiszę nieco później, a teraz jedynie wspomnę o dodatkowej dekoracji stołu, mianowicie o baziach, których szukałem w łożach nad strumykiem, o zieleniejących wierzbowych pędach i o czekoladowym zającu, którego przez kilka lat nie mieliśmy serca, aby zjeść. A cukrowe baranki były każdego roku zjadane, podobnie jak i kraszanki. Z jajkami była dodatkowa atrakcja – walka na wybitki. W te świąteczne dni każde dziecko wychodziło na podwórko z odpowiednim zapasem jajek. Walka polegała na umiejętnym stuknięciu w czubek lub dupkę jajka przeciwnika, a zwycięzca zabierał stłuczkę. Starsi chłopcy mieli swoje sposoby na wygraną walkę, a to używali małego gęsiego jajka, a to stukali nieco ze skosu lub mieli starego, nadzwyczaj twardego zbuka, przechodzącego w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Zaraz po Wielkanocy, gdy tylko zniknął śnieg, zaczynały się dziecinne zabawy na stefanińskiej ulicy. Dziewczyny po swojemu kręciły się w kółkach, grały w klasy lub skakały przez sznurek. Chłopcy najczęściej grali w klipę, rzucali szajbą lub podbijali zośkę. Te dwie ostatnie

zabawy warto opisać nieco bardziej szczegółowo. Do gry w szajbę niezbędna była odpowiednio duża i ciężka metalowa podkładka do śruby, najlepiej taka do mocowania szyn kolejowych. Ja miałem coś jeszcze lepszego, płaski ołowiany krążek, odlany ze starego akumulatora w pudełku po paście do butów. Aby wypełnić reguły gry, w środku miał wywierconą dziurkę. Szajbą rzucano się do narysowanego na ziemi, odległego o dziesięć kroków kółka tak, aby trafić jak najbliżej środka. Dodatkowo premiowane było wybicie lub przykrycie szajby przeciwnika. Mój ołowiany krążek ze względu na swój ciężar nie odskakiwał i nie turlał się, a wręcz wbijał się w ziemię. Wystarczyło tylko celnie rzucić. Zośka to była ołowiana kulka z przymocowanym pęczkiem różnobarwnych wełnianych nitek. Reguły gry nie były nazbyt skomplikowane, natomiast wykonanie wszystkich elementów wymagało prawdziwej wirtuozerii. Zośkę podbijało się do góry, najpierw stopami, potem kolanami, łokciami a w końcu głową. Specjaliści potrafili bez skuszenia, to znaczy spadnięcia zośki na ziemię, wykonać kilka takich serii. Ja tego nigdy nie potrafiłem, pomimo że dłuższy czas ćwiczyłem z samodzielnie wykonaną zośką. Inną umiejętnością moich kolegów, której także nie potrafiłem naśladować, było „kręcenie” fujarek z wierzbowej gałęzi lub wycięcie łożynowego gwizdka. Jeśli z trudem wymęczyłem coś, co wydawało piszczące tony, to o wygraniu najprostszej melodii nie było już mowy.

A po Wielkanocy to właściwie myślało się już o lecie i o wakacjach. Łochowskie wakacje to był czas bardzo specyficzny. Wtedy Tato zabierał mnie na swoje służbowe wyjazdy do okolicznych nadleśnictw. Były to kilkudniowe wyprawy połączone z noclegami na poddaszach gajówek, wędrowaniem przez leśne ostępy, liczeniem sadzonek i mierzeniem drzew. Jeździliśmy starym Willisem z wojennego demobilu. Miał oryginalne wojskowe wyposażenie, brezentowy dach i pachniał przygodą. W trakcie każdego wyjazdu zdarzały się liczne atrakcje, a to łatanie kół, w które wbiły się hacze ze zgubionych podków, a to lutowanie pękniętej chłodnicy lub naprawy sypiącej się skrzyni biegów. Jeździliśmy po zupełnych bezdrożach, dołach, z których woda wlewała się do kabiny, piaszczystych wydmach, z których wyciągały nas miejscowe konie lub łakach, na których trawy sięgały powyżej samochodowych okien. Rzadkie stacje benzynowe wyglądały zupełnie inaczej niż obecne. Niewielka budka, przed nią ręczna pompa, a na dwóch słupach szklane pięciolitrowe balony z podziałką. Benzyniarz lub jeden z pasażerów pompował i napełniał jeden z balonów. Po przełączeniu zaworu paliwo płynęło węzłem do zbiornika samochodu, a w międzyczasie napełniało się drugi balon.

Wspominając wakacje nie sposób pominąć pobliskiego Liwca. Rzeka była niewielka, ale nadzwyczaj czysta i urokliwa. Po św. Janie, gdy oficjalnie można było się kąpać, wędrowaliśmy, najczęściej z Babcią! około trzy kilometry do Starego Łochowa. Potem jeszcze kilkaset metrów przez łąki i już widać było błękitną toń rzeki. Piaszczysty brzeg, porośnięty srebrzystozielonymi liśćmi podbiału, schodził łagodnie do naszego ulubionego dołka. Liwiec latem był raczej płytki, na środku nurtu białe piaszczyste łachy i tylko w kilku miejscach woda sięgała do ramion. Tam po raz pierwszy usiłowałem łowić ryby. Służyła do tego własnoręcznie skonstruowana siatka ze starej firanki, rozpięta na wiklinowych pałkach. Idąc pod prąd, przystawiało się siatkę do urwistego brzegu i tupiąc nogami, wypłaszało ryby. Najczęściej były to niewielkie piskorze i kolczaste cierniki, ale raz schwytałem prawdziwego szczupaka! Liwiec poznałem dokładnie w trakcie kolonii w Urlach, ale to temat na inne opowiadanie.

Koniec wakacji to czas puszczania latawców. W sklepiu na Stacji kupowałem kolorową bibułę (arkusz kosztował piętnaście groszy). Z listewek i dratwy budowałem trapezowy szkielec, który oklejałem bibułą, potem jeszcze długi ogon i można było biec na wygon. Oczywiście, potrzebny był jeszcze długi sznurek i odpowiedni wiatr. Najlepiej latawce było puszczać ze wzniesienia obok czworaków, ale tam przebiegała linia elektryczna i na drutach kołysały się resztki niefortunnych wzlotów. Moim prywatnym, ulubionym miejscem była łąka, na której wybierano torf. W głębokich podłużnych dołach stała brunatna woda, a dookoła rozciągał się płaski bezdrzewny teren, idealny dla latawców. Gdy wiatr miał odpowiedni kierunek, przywiązywałem do latawcowej linki kawałek deski i puszczałem ją na wodę. Płynęła kilkadziesiąt metrów, aż do następnego brzegu, prując wodę niczym motorówka. Rzykowna to była zabawa, bowiem torfowe doły były bardzo głębokie i któregoś roku w jednym z nich utonęła krowa. Wakacje nieodwołalnie kończyły się pierwszego września i z wędrowek pozostawały już tylko krótkie wypady na maślaki do sadzonek lub zbieranie dziurawca. Sadzonki, czyli kilkuletni, gęsty sosnowy młodnik rósł

niedaleko od domu. Wystarczyło przebiec przez obejście Mazurkiewiczów, aby znaleźć się w ich kłującym gąszczu. Niekiedy trzeba było czołgać się pod niskimi gałęziami, aby dotrzeć do brązowych „pępków” lub żółtawych sitaków. Zebrane grzyby, ponawlekane na leszczynowe patyczki, suszyliśmy potem w duchówce. Złociste kwiaty dziurawca zbieraliśmy dla Taty, zimą parzył sobie herbatę, która podobno pomagała na wszelkie wątrobiane dolegliwości.

Gdy nadchodziła późna jesień, jedną z atrakcji, na którą z utęsknieniem czekali wszyscy mieszkańcy osady, było objazdowe kino. Pierwszy kinowy seans, który pamiętam, to rosyjska komedia „Świat się śmieje”. Oglądałem ten film wraz z kolegami w specjalnym wagonie kolejowym stojącym na bocznicy. Niezbyt dobrze rozumiałem treść komedii, ale zafascynowały mnie postacie poruszające się po ekranie i charakterystyczne melodie. To musiało być naprawdę ogromne przeżycie, jeśli jego wspomnienie utkwiło w mej pamięci aż do dzisiaj. Następnym filmów, wyświetlanych w szkolnej świetlicy, już nie zapamiętałem. Wiem jedynie, że były to radzieckie filmy wojenne, każdorazowo poprzedzane kroniką i dodatkiem dla dzieci. Projekcje te ściągały prawie wszystkich mieszkańców Łochowa i okolic. Na sali był niesamowity tłok, dorośli siedzieli na ławkach i krzesłach ściągniętych ze wszystkich klas, a niektórzy przynosili własne stołki. Dzieci rozsiadały się na kolanach rodziców i znajomych lub na podłodze pod ekranem. Okna były zasłonięte kocami, było duszno, ciemno i niewygodnie, ale wszyscy z napięciem wypytywali sąsiadów, ile i jak duże szpule filmów przyniósł kinooperator. Gdy za plecami zaczynał terkotać aparat projekcyjny i rzucać przez całą salę jasną smugę migocącego światła, wszyscy cichli i nieruchomieli. Tylko dzieciarnia pod ekranem zabawiła się „puszczanie zająca”, czyli rzucaniem na ekran cieni podniesionych rąk. W miarę rozwoju akcji filmu widzowie reagowali niekiedy bardzo spontanicznie: gwizdali, tupali, pokrzykiwali na aktorów, niekiedy płakali. Potem przez dwa tygodnie lub miesiąc, jaki upływał do następnej projekcji, treść filmu była głównym tematem wszystkich dyskusji.

Zupełnie inną atrakcją i to mającą miejsce tylko raz w roku, był parafialny odpust na Budziskach. Nasz kościółek był niewielki, ot taki drewniany barak z wieżyczką. Na niedzielnych mszach nigdy nie był pełny, ale na odpust zjeżdżali się mieszkańcy wszystkich sąsiednich osad i przysiółków. Na placu przed kościołem już poprzedniego dnia stawały budki handlarzy oraz schodzili się okoliczni żebracy. Na mszach wszyscy wierni, a szczególnie dzieci, nie mogli doczekać się końcowego błogosławieństwa, aby popędzić do odpustowych kramów. Czego tam nie było?! Cukierkowe gwizdzące koguciki, drewniane fujarki, makowe „mordoklejki”, tęczowe krochmalki na sznurku i małe twarde obwarzanki. Dla bogatszych klientów były pistolety na korki i kapiszony, barwne jo-jo na gumce lub blaszane zegarki z poruszającymi się wskazówkami. Specjalną atrakcją było koło szczęścia. Na obwodzie wielkiej drewnianej tarczy były białe gwoźdźki, a na środku tkwiła deseczka zakończona sprężystym piórkiem. Po zapłaceniu, już nie pamiętam jakiej kwoty, można było pokręcić tarczą i czekać w napięciu na jej zatrzymanie się, na jednym z ponumerowanych pól. Wygrane były rozmaite, z tym, że najczęściej tarcza zatrzymywała się na lizakach, ołówkach lub balonikach. Gdy któregoś razu zagrałem, ku memu zdziwieniu i nieukrywanej zazdrości kolegów, wygrałem główną nagrodę. Był to bajkowy domek wykonany ze szklanych płytek oraz lusterek i obsypany brokatem. Na odpuście panienki mogły kupić złote pierścionki z rubinowym lub diamentowym oczkiem, bursztynowe bransoletki lub motylkowe spinki do włosów. Kawalerowie natomiast oglądali modne wtedy okrągłe lusterka ze zdjęciem aktorek, wachali zapach brylantyny lub ćwiczyli oko w strzelaniu z wiatrówek. Gdzieś pod płotem, na uboczu odchodziła gry w trzy lusterka lub karty, a spragnieni mogli napić się piwa lub farbkowanej lemoniady.

Pisząc o łochowskich atrakcjach, nie sposób pominąć ówczesne nowinki techniczne. W Łochowie już w ostatnich latach naszego pobytu kupiliśmy lodówkę. Nazywała się „Szron”, miała pojemność kilkunastu litrów i działała na zasadzie absorpcji, to znaczy nie miała silnika, a jedynie grzałkę. Słabe to było urządzenie, chłodziło do + 5<sup>o</sup>, bulgotało i syczało, ale dzięki niemu mogliśmy w ankiecie socjalnej wstawić krzyżyk w rubryce: „ Czy gospodarstwo domowe posiada lodówkę?”. Innym urządzeniem, którego nie posiadaliśmy, ale które można było kupić w sklepie na Stacji, była pralka. Nie myślcie sobie, że przypominała obecny automat, lub nawet pocziwą „Franię”. Był to silnik elektryczny z wiatraczkiem osłoniętym metalową siatką, osadzony na długim drążku. Do kompletu potrzebna była duża drewniana lub metalowa beczka. Bieliznę przeznaczoną



do prania układało się w beczce, nalewało wody, sypało proszek i wkładało urządzenie. Trzymając oburącz drążek przez kilkanaście minut kręciło się zawartość. Sądząc po tym, że urządzenie dość długo leżało na wystawie, łochowskie gospodynie gustowały w tradycyjnych metodach prania. Inną techniczną nowością był ówczesny odkurzacz. Maszynę zakupił Rejon Lasów i za pewną odpłatnością można było wypożyczyć ją na większe sprzątanie. Pamiętam, z jakim wielkim przejęciem odkurzaliśmy zakamarki mieszkania i z jaką dumą trzepało się pełny worek. Odkurzacz także nie przypominał obecnych urządzeń. Silnik oraz ssawka były, tak jak w pralce, osadzone na drążku z rękojeścią, a worek zwisał z boku. Do końca pobytu w Łochowie mieliśmy wspomniane już radio „Pionier” i jedynie, gdy jechaliśmy do Białegostoku, w domu Dziadka mogłem podziwiać superheterodynę. Był to naprawdę wielki radioodbiornik, miał chyba z osiem lamp i przepięknego, zielonego „motylka”. Motylek reagował na dostrajanie się do stacji, jaśniejąc i rozkładając skrzydełka. Radio miało wspaniały głęboki ton i odbierało kilkadziesiąt stacji. Polskie były tylko dwie – Warszawa I oraz II. O telewizji dopiero zaczynało się mówić. Przypominam sobie, jak na początku lat 50-tych Tato bardzo przejęty wrócił z Warszawy. Kilkakrotnie potem opowiadał, że był na jednym z pierwszych pokazów działania telewizji. W jednym z pomieszczeń, chyba studio radiowym, Wiech wygłaszał swój monolog, a w drugim widzowie oglądali to na ekranie. Oczywiście, obraz był czarno-biały, ekran wielkości zeszytu, ale w tamtych czasach była to nie lada sensacja.

Dla uzupełnienia obrazu ówczesnej techniki domowej warto przypomnieć kilka sprzętów i urządzeń z początku ubiegłego wieku. Muszę przyznać, że były nader praktyczne i co równie ważne – trwałe. Do najstarszych mechanizmów można zaliczyć ścienny francuski zegar. Chodził doskonale, wydzwaniał całe i połówki godzin i tykał na dwa takty. Oczywiście, wymagał nakręcania w każdą niedzielę i raz na parę lat odwiedzin zegarmistrza. Werk i wahadło zegara leży obecnie w pawlaczu, bowiem stara skrzynia rozpadła się w trakcie jednej z przeprowadzek.

Mało znanym dziś urządzeniem jest naftowy prymus. Używany w Łochowie miał dobrze ponad czterdzieści lat, bowiem Babcia podkreślała, że kupiła go zaraz po I wojnie. Narowiste to było urządzenie! Aby je rozpałić, najpierw napełniało się zbiornik naftą, następnie pompowało i otworzywszy zawór wypuszczało niewielką porcję paliwa do miseczki pod palnikiem. Gdy nafta nie leciała, trzeba było przetkać dyszę specjalnym drucikiem. Po napełnieniu miseczki zawór należało zamknąć, prymus podpompować i zapalić. Po nagrzeniu główki następowała ważna i niebezpieczna faza uruchamiania – odkręcało się zawór paliwa. Gdy prymus był w dobrym humorze, zaczynał szumieć i furczeć błękitnym płomieniem. Jednak często z dyszy tryskała strużka nafty, która płonęła jak pochodnia. Czerwony jęzor ognia miał wysokość kilkadziesiąt centymetrów, a płaty kopciucha fruwały dookoła i osiadały na ścianach. Trzeba było czym prędzej zamknąć zawór i całą procedurę powtarzać od początku. Nam to się nigdy nie zdarzyło, ale niekiedy prymus wybuchał niczym bomba zapalająca. Gdy działał prawidłowo, mógł w kilkanaście minut zagotować wiadro wody. Tylko ten wszechobecny zapach nafty, przesiąkały nim nawet gotowane na prymusie zupy!

Wspominany już w opowiadaniu samowar pochodził z Tuły i miał pojemność pięciu litrów. W moich czasach tylko raz czy dwa razy byłem świadkiem jego uruchomienia. W dolnej części samowara rozpałalo się specjalne węgle drzewne, a do zbiornika lało czystą źródlaną wodę. Rozpałalo się oczywiście w kuchni, pod okapem, aby dym ulatniał się do komina. Rozgrzany samowar przenosiło się na stół i stawiało na metalowej tacy. Co jakiś czas trzeba było podmuchać na żarzące się węgle i nasłuchiwać, czy woda już szumi. Goście wkładali do filiżanek parę listków herbaty i z kranika samowara nalewali wrzątek. Do dobrego tonu należało głośno siorbać gorącą herbatę, zagryzać kostką cukru i chwalić jakoś samowara. Tylko z opowiadań Babci i Rodziców przypominam sobie ceremonię picia herbaty, do której kawałek cukru odcinało się z dużej głowy specjalną siekierką. Taka siekierka była jeszcze w Łochowie, ale była używana jedynie do łupania drzazek na rozpałkę.

Pisałem już, że mieliśmy latarkę karbidową. Była bardzo poręczna, niklowana i przystosowana także do oświetlenia roweru. Do dolnego zbiorniczka wkładało się kilka kawałków karbidu, a do górnego nalewało wody. Gdy potrzebne było światło, odkręcało się zaworek wkrapający wodę do karbidu. Po chwili można było zapalić ulatniający się z dyszy gaz. Lampa przez kilka godzin świeciła jasnym, lekko błękitnym płomieniem. Karbidu używałem także do

zupełnie innych celów. Przed Wielkanocą istniał zwyczaj strzelania z czego się tylko dało. Ja strzelałem z puszki! W denku metalowego pudełka po farbie robiłem niewielki otwór. Do środka wkładałem kawałek karbidu, plułem i szczelnie zamykałem pokrywkę. Teraz wystarczyło przydepnąć puszkę nogą i zapalić ułatwiający się przez dziurkę gaz. Huk był ogromny, z puszki buchał płomień, a echo kilkakrotnie powtarzało kanonadę. Trzeba było szybko odszukać pokrywkę, popluć na karbid, zamknąć i armata była gotowa do akcji. Oczywiście, gdy w międzyczasie nie dopadła mnie sąsiadka, której od huku dzwoniło w uszach. Popularne było także strzelanie z klucza. Najpierw musiałem podkraść klucz od kredensu lub kłódki. Do otworu trzeba było dopasować gwóźdź lub śrubę i związać kawałkiem sznurka. Teraz musiałem „zorganizować” pudełko zapalek. Do otworu w kluczu, zależnie od planowanego efektu, trzeba było zeszkrobać „siarkę” z odpowiedniej ilości zapalek, zatkać gwóździem i umiejętnie uderzyć o węgiel domu lub chlewika. Huk był równie potężny, choć o nieco innej tonacji. Wielkanocne strzelanie przypomniało mi coś znacznie bardziej poważnego, coś związanego z niedawną wojną. Dziś może trudno uwierzyć, ale w Łochowie na naszym podwórku przez wiele lat leżała bomba lotnicza. Nietypowa to była bomba, wykonana z betonu, pozbawiona lotek i zapalnika, ale zapewne z ładunkiem wybuchowym w środku. Saperzy zabrali ją dopiero wtedy, gdy podobny niewypał poranił chłopaków z gimnazjum. Pozostałości wojennej amunicji można było znaleźć prawie wszędzie. Z naboju karabinowych wyciągałem obcęgi „czubek” – po wytopieniu ołowiu nadawał się doskonale na grot do strzały łuczniczej. Ziarenka prochu można było ukradkiem rozsypać po kuchennej płycie. Gdy się nagrzała, zapalały się z głośnym trzaskiem. Kiedyś wrzuciłem do paleniska długą łaskę prochu artyleryjskiego. Dostałem ją od kolegi, który „rozkręcił” znaleziony w lesie pocisk armatni. Dobrze, że skończyło się na rozlanej zupie i sprzątaniu kuchni z popiołu i sadzy. Głupie były te ówczesne zabawy, lepiej napiszę o czymś, co było uważane w tych czasach za nowość techniki.

Naukową nowinką był w tym czasie arytometr. Jeden egzemplarz tej maszyny był w Rejonie Lasów i Tato niekiedy przynosił go do domu, aby obliczać jakieś statystyczne zestawienia. Pozwalał mi także sprawdzić szkolne słupki. Z jakimż nabożnym zachwytem kręciłem korbką i podziwiałem ciągi cyfr wyskakujących na jego rejestrach. W sklepie, biurze, aptece i w domach do podliczania rachunków używano najczęściej kartki papieru i ołówka, a tylko bardziej wykształceni stosowali liczydła. Następnym stopniem wykształcenia była umiejętność posługiwania się suwakiem logarytmicznym, a zwykły kalkulator pojawił się dopiero za dziesięć lat.

W Łochowie, a może dopiero w Siedlcach dostałem na Gwiazdkę aparat fotograficzny. Czeski „Pionier” z wyglądu przypominał plastikową mydelniczkę i był równie skomplikowany. Do nastawiania były dwa czasy migawki i dwie przysłony, a ostrość zdjęcia „wychodziła” samoczynnie. Zdjęcia na kliszy sześciocentymetrowej można było zrobić w formacie 6 x 6 lub 6 x 4,5. Gdzieś na dnie pawlacza jeszcze leżą ówczesne fotki, małe, z zębatymi brzegami – taka była ówczesna moda. Drugim moim aparatem był radziecki FED na szklane klisze. Miał ogromnie długi miech, poziomice do ustawiania położenia, duży zakres czasów i przysłon oraz odpowiednią do tego wagę. Jakość aparatu była znacznie lepsza, format negatywów olbrzymi – 12 x 18 cm, ale z nabyciem płyt był kłopot. Po zrobieniu kilkudziesięciu zdjęć aparat poszedł w odstawkę, a ja dostałem nader nowoczesnego Kodaka (także z miechem). Ówczesne zdjęcia były oczywiście czarno-białe, cały proces wywoływania filmu i wykonywania powiększeń robiłem w domowych warunkach, w łazience lub ciemnej komórcie. Pewną ciekawostką była możliwość pomalowania fotek specjalnymi farbami tak, by udawały akwarele.

Gdy tak piszę o dawnych urządzeniach, pamięć podsuwa mi coraz więcej przedmiotów, których dzisiejsze pokolenie nie potrafi nazwać ani określić ich przeznaczenia. Tato nosił buty z długimi, błyszczącymi cholewami – tzw. szklanki. Aby nie straciły fasonu, używał drewnianych trzyczęściowych prawideł ze specjalnymi klinami, które trzeba było wbijać młotkiem. Do zdejmowania tych butów niezbędna była drewniana „suczka”, a do zakładania niklowane haki.

Inną grupą przedmiotów było wyposażenie palacza. Muszę to przyznać, że Tato był nałogowym palaczem. Już w czasach ostrołęckich w domu czuć było tytoniem, a w przydomowym ogródku rosła machorka. Oczywiście, było to zabronione, dlatego Mama siała ją w kącie za wysokim żywopłotem. Wczesną jesienią zrywało się lekko pożółkłe liście, suszyło na strychu, a potem fermentowało, skrapiając co jakiś czas wodą z dodatkami. Gdy liście były gotowe, Tato

ostrym nożem usuwał grube włókna. Potem odżyłowane liście zwijał i kroił na cienkie makaroniki. Gdy przymknę oczy, widzę stół kuchenny, specjalną grubą deseczkę i Tatę krojącego pachnące brązowe ruloniki. Do pokrojonej machorki trzeba było dodać nieco fabrycznego tytoniu, wiśniowych liści i szczyptę przypalonego cukru. Tak przygotowaną mieszanką napychało się gilzy. Do niniejszego opisu zainspirował mnie właśnie taki napychacz. Nie będę go szczegółowo opisywał, bowiem leży w pudełku obok starej cygarniczki, srebrnej papierośnicy oraz fajki i każdy może to wszystko obejrzeć. Napiszę tylko o gilzach, kupowało się takowe po pięćset sztuk w blaszanym pudełku z napisem „Tutki zdrowotne AIDA” i samodzielnie napełniało tytoniem. Do palenia papierosów bez ustników służyły specjalne cygarniczki, niektóre ze zwykłego szkła, inne z drewna, a Tato miał nawet bursztynową! Monopolowe papierosy prawdopodobnie były drogie i nie zawsze dostępne, więc palacze radzili sobie jak mogli. Gdy były trudności z zakupem gilz, papierosy skręcało się, używając bibulek „Solali”, a w zupełnie kryzysowych czasach po prostu kawałków gazety.

Opisując dawne przedmioty, chciałbym wspomnieć o szkolnych obsadkach, do których zakładało się stalówki: rondówki, krzyżówki, skośne lub nader nowoczesne z nakładką. Pisało się oczywiście atramentem, którego buteleczka była podstawowym atrybutem ucznia. W klasowych ławkach były wywiercone otwory, w których tkwiły szklane kałamarze. Pan woźny codziennie napełniał je atramentem, a myśmy topili w nich muchy. Nasze psikusy miały nader praktyczne znaczenie, bowiem w razie kłopotów ortograficznych w wątpliwych miejscach dyktanda „sadzało” się kleksa, którego wytłumaczeniem były właśnie muchy w atramencie.

Innym interesującym przedmiotem jest niewątpliwie stempel z inicjałem. Leży takowy w szufladzie, ma mosiężną stopkę z wygrawerowanym SR i ozdobną rękojęść. W tamtych czasach wszelkie przesyłki pocztowe, a szczególnie zagraniczne, trzeba było lakować. Każda paczuszka, kilkakrotnie owinięta mocnym sznurkiem, musiała być opieczętowana na wszystkich węzłach. Oczywiście, robiło się to w urzędzie pocztowym po dokładnym sprawdzeniu zawartości i ocleniu. Czerwoną pałeczkę laku trzeba było podgrzać nad świeczką, nakapać na węzeł i mocno przycisnąć stemplem. Stemplowało się także listy, także dopiero po sprawdzeniu przez cenzurę. Gdy ktoś nie miał własnej pieczętki, na każdej poczcie było urządzenie podgrzewające lak oraz firmowa pieczęć. Lakowanie przesyłek przypominało mi rodzinne święto, gdy przychodziła paczka z Anglii. Nasi bliscy krewni (siostra Taty z rodziną) zostali w 1940 roku wywiezieni na Sybir. Po wielu latach gehenny i tułaczki przez Persję i Palestynę dotarli do Anglii. Początkowo myśmy wysyłali im paczki z żywnością, ale z czasem sytuacja się zmieniła. Każda przesyłka od nich była z należytym nabożeństwem otwierana, a zawartość podziwiana. Przychodziły nieznanne w Polsce przyprawy, mięso w puszcze, skondensowane mleko, papierowe aniołki na choinkę. Najbardziej zapamiętałem fioletowy proszek w blaszanej puszcze. Miał kwaśny cytrynowy smak i Tato dosypywał go do herbaty oraz leguminy. A może ten proszek był z paczki UNRRA, którą dostaliśmy w ramach amerykańskiej pomocy?

W piwnicy, gdzieś w kącie stoi góralska laska. Zwykła, cała drewniana, ale dla mnie ma wartość dzięki kilkunastu przymocowanym do niej herbom. Dostałem ją od wujka, gdy po raz pierwszy pojechałem z Rodzicami do Zakopanego. Był wtedy taki zwyczaj, że na pamiątkę pobytu w jakiejś miejscowości lub „zdobyciu” górskiego szczytu do laski przybijano się metalowy znaczek. Teraz z nostalgią mogę sobie przypominać pobyty w Wieliczce, Ojcowie i Krakowie, czy też wdrapywanie się na Giewont i Kasprowy. Wiem, że tych znaczków było znacznie więcej – będę musiał odszukać laskę i sprawdzić.

Nie mogę się powstrzymać przed napisaniem o przedmiocie, który był wtedy nadzwyczaj popularny, a dziś jest zupełnie nieznany. W tamtych czasach w każdej instytucji, każdym pokoju biurowym, poczekalni, na dworcu i w sklepie, w kącie stała okrągła, emaliowana spluwaczka. Nad nią na ścianie często wisiał stosowny pouczający napis „Pluj tylko do spluwaczki!” Tych pouczających napisów była cała masa: „Naród z Partią!”, „Precz z imperializmem”, „Proletariusze, łączcie się”, „Pokój...” – ten ostatni był odmieniany we wszystkich przypadkach i językach, „Niech się święci...” itd., itd. Gdy tak piszę, pamięć podsuwa mi coraz więcej tych wszechobecnych haseł, ale że nie mają one żadnego związku z tytułowym stołem, zachowam je do innej bajki. Podobnie tylko nawiasowo wspomnę o portretach ówczesnych dostojników. Jak dziś widzę łysą głowę

Cyrankiewiczza, dobrotliwe, wąsate oblicze Stalina czy dostojnie uśmiechniętego Bieruta. Obowiązkowo wisieli oni w każdej klasie, w każdym biurze i świetlicy. Takie to były czasy!

A ówczesny telefon! Zawieszona na ścianie drewniana skrzyneczka z przysłoniętym siatką otworem w środku i lejkiem na przewodzie zawieszonym z boku. Był takowy w Rejonie Lasów i gdy się chciało rozmawiać, trzeba było najpierw „postukać” widełkami. Następnie, gdy odezwała się panienka z centrali, podać numer, odwiesić słuchawkę i czekać, czekać i czekać, niekiedy kilka godzin na połączenie.

Wiele można by jeszcze pisać o: szydłach do samodzielnej reperacji butów, prasce do wykonywania nabożów do dubeltówki, aparaciku do ostrzenia żyłek, szlifowanej karafce i kieliszkach, łyżce z monogramem, glinianej makutrze, mosiężnym moździerzem, niebieskim młynku, gumowej gruszcze... i o wielu, wielu nader praktycznych, a nieznanych obecnie urządzeniach. A te wszystkie stare dokumenty: szkolne świadectwa w języku rosyjskim i niemieckim, przedwojenne obligacje, pisane co roku życiorysy, świadectwa pracy i zaświadczenia lojalności, pliki starych banknotów, srebrne monety, niebieskie koperty z wyblakłymi listami... W każdym z tych przedmiotów drzemie jakaś historia, jakiś fragment minionego życia, który warto przypomnieć. Sądzę, że jest to bardzo ważne, szczególnie dziś, gdy czujemy się zagubieni w natłoku ciągłych zmian, gdy zrywają się więzy rodzinne i społeczne. Może kiedyś zabiorę się za odkurzenie i opisanie tych pamiątek. A teraz pora wracać do początku lat 50-tych w Łochowie.

Jesień była czasem przygotowywania zimowych zapasów. Najwięcej robiło się suszonych jabłek. Umyte antonówki Babcia kroїła bez obierania w cienkie plastry. Plastry układała na specjalnych, zrobionych z siatki ramach. Gdy tylko zaświeciło słońce, wynosiło się jabłka na dach piwnicy, gdzie powoli brunatniały i skręcały w małe suche listki. Podobnie było z gruszkami, z tym że małe twarde ulęgałki schły w piecu chlebowym, a na słońcu suszyły się, także pokrajane w plastry, duże złocistoczerwone bery. Do moich zadań należało doglądanie suszenia owoców, przewracanie kawałków, odganianie much i chowanie w razie deszczu. Na strychu dosychały pęki ziół: dziurawca, krwawnika, piołunu. Wisiały pędy malin i gałazki z owocami głogu. Na parapetach okiennych stały butelki i gąsiorki z jagodami, malinami i wiśniami. Owoce, zasypane cukrem, puszczały sok, zlewany potem do butelek i pasteryzowany w dużym kotle. Do piwnicy trafiały kosze: marchwi, pietruszki, buraków – wszystko z naszego ogródka, a także kupione na rynku worki kartofli. Na piwnicznych półkach stały butelki z przecierem pomidorowym, słoiki z powidłami, kamienne faski z ogórkami i beczka z kiszoną kapustą. Robienie kapusty to było domowe święto. O ile pamiętam, kupowało się kilkadziesiąt, może nawet pięćdziesiąt główek specjalnej twardej kapusty. U sąsiadów była zamówiona szatkownica, taka duża na sześć noży. Do kuchni przynosiło się wielką balię, stolnicę, beczkę i długie noże. Wszystko szorowało się dokładnie, a beczkę napełniało gorącą wodą. W piecu nagrzewało się do czerwoności specjalne bazaltowe kamienie. Rozżarzone, wrzucało do beczki i szybko nakrywało kocem. Przez dobry kwadrans beczka szumiała, bulgotała i, pomimo koca, buchała parą. Po tych przygotowaniach następowało szatkowanie. Głowy kapusty rozcinało się na cztery części i wyjmowało głąby. Tato, używając całej siły, ciągał skrzyneczkę szatkownicy, a my dokładaliśmy nowe porcje. Białe strużki kapusty sypały się do balii, Babcia dodawała soli, kminku i tartej marchwi. (Nie jestem pewien, czy to był kminek czy koper). W czasie przerwy w szatkowaniu Tato odpoczywał, a reszta Rodziny ręcznie „przecierała” zawartość balii. Potem odpowiednią ilość kapusty ładowało się do beczki i mocno ubijało drewnianym wałkiem od magłownicy lub pożyczoną stępą. Pomiędzy warstwy kapusty Babcia wkładała zielone twarde jabłka – jakże one smakowały zimą!

Jesień to była także pora robienia wina. Do wielkiego, dwudziestolitrowego balonu sypało się pocięte owoce głogu, wlewało wodę z cukrem i dodawało zaczyn drożdży winnych. W korku tkwiła specjalna, przemyślnie wygięta rurka z wodą. Na drugi, trzeci dzień zawartość balonu zaczynała fermentować. W rurce coraz szybciej bulgotała, a cały gąsior robił się ciepły – drożdże pracowały. Z upływem czasu bulgotanie słabło, fusy opadały na dno i odbywało się pierwsze ściąganie. Do młodego, częściowo sklarowanego wina dodawało się cukru, niekiedy dolewało soku z innych owoców i ponownie fermentowało. Wczesną wiosną wino rozlewało się do butelek, korkowało i w czasie rodzinnych uroczystości nawet dzieci dostawały niewielki kieliszek.

Latem robiło się podpiwek. Może nie zapamiętałbym tego napoju, gdyby nie związana z nim komiczna przygoda. Tato do pracy zabierał ze sobą kanapkę, a do picia najczęściej herbatę

w termosie. Któregoś dnia wziął butelkę z podpiwkim. Teraz muszę bardziej szczegółowo objaśnić, jak wyglądał ówczesny podpiwek. Kupioną w sklepie paczuszkę, zawierającą między innymi palony słód, cykorię i karmel gotowało się w dużym garnku. Następnie dodawało cukru i nieco drożdży. Mieszanka przez kilkanaście godzin fermentowała w ciepłym miejscu, a potem przelewało się ją do butelek po piwie. W tych czasach piwo sprzedawano w butelkach zamykanych ceramicznym korkiem z gumką, dociskany specjalnym sprężystym strzemiączkiem. Otwieranie takiej butelki z podpiwkim wymagało nie lada umiejętności. Trzeba było bardzo ostrożnie uchylić zamknięcie, a stróżkę spienionego płynu skierować do jakiegoś większego naczynia. Dopiero po „spuszczeniu” nadmiaru gazu można było otworzyć butelkę i spokojnie nalać podpiwku do szklanki. W biurze Tato operację otwierania wykonywał w łazience, co budziło zainteresowanie jednego ze współpracowników. Prawdopodobnie podejrzewał, że w butelce jest piwo lub inny trunk. Któregoś dnia, gdy Tato jak zwykle przyniósł piwną butelkę, kolega nie wytrzymał i pod nieobecność Taty postanowił sprawdzić jej zawartość. To była prawdziwa bomba – cały pokój tonął w brunatnej pianie. Wszystkie dokumenty, franki, a nawet portret Józefa Wissarionowicza ociekały podpiwkim, a kolega tłumaczył się, że butelka wybuchła samoistnie.

Strych w Łochowie był okazały, choć niski. Długie sztuki pościeli można było suszyć jedynie w jego środkowej części, pod kalenicą. W niskiej części poddasza było miejsce na zapasowe krzesła, jakieś stołki, paczki z książkami. Tu stały też kufrы i skrzynie wypełnione starą odzieżą i „skorupami”, czyli lekko wyszczerbionym serwisem, kieliszkami, karafkami itp. Na strychu stał stary koń na biegunach, sanki, mosiężny samowar i kilka zabytkowych lamp naftowych. Na niewielkiej półeczce mieściła się wspomniana już bańka z naftą i butelki z karbidem. To był „dostępny” strych – nad naszym mieszkaniem było jeszcze jedno poddasze, ale znikąd nie było do niego dojścia. Gdy poszukiwałem nieznanego przejścia, ze zdziwieniem odkryłem, że w budynku jest jeszcze jedno niedostępne pomieszczenie. W sąsiedztwie schodów prowadzących na nasze piętro znajdowała się drewniana ściana, która ślepo zamykała przestrzeń około czterech metrów kwadratowych. Wezwany na pomoc stolarz potwierdził nasze podejrzenia i po rodzinnej naradzie wyciął dziurę w podłodze sionki oraz zrobił małe okienko. W uzyskanej dodatkowo powierzchni mieszkalnej zrobiliśmy spiżarkę z półkami, a przez kilka tygodni mieszkał w niej gołąb, którego wygrałem na szkolnej loterii. A do tego drugiego strychu jakoś nigdy nie dotarłem.

We wstępie tego opowiadania napisałem o dźwiękach i zapachach, które niczym katalizator sprzyjają reakcjom odtwarzania przeszłości. Moje dzieciństwo w Łochowie pełne było woni i odgłosów. Teraz z radością i nostalgią odtwarzam je niby starą płytę patefonową.

Najpierw zapachy – niekiedy intensywne, kręcące w nosie, innym razem ulotne i delikatne, zawsze łączące się z określonym miejscem i porą roku. Nadchodząca jesień pachniała suszonymi grzybami i jabłkami, dymem z ognisk i pieczonymi ziemniakami. Kręciła w nosie zapachem naftaliny i bagna z wyciąganych z szaf kozuchów i wełnianych swetrów. Potem czuło się specyficzny zapach gnijących liści i jasną, szczypiącą woń przymrozków. Zima to zapachy jodły, wędzonej szynki, świątecznych ciast i terpentyny, którą nacierało się plecy w przypadku przeziębienia. Wiosna wybuchała zapachami rozmarzającej ziemi, pękających pąków, fiołków i pierwszego deszczu. A potem przychodził czas, gdy wszystko pachniało: niezapominajki przy strumyku, grabione siano, wieczorna maciejka pod oknem, majowe bzy, czerwcową akacja, jabłonie i wiśnie, róże na klombie, nagrany słońcem las, powietrze po burzy. Wszystkie te wonie falowały w powiewach wiatru, nakładały się na siebie, uzupełniały, tworząc prawdziwą symfonię. Jak muzyczne kontrapunkty pojawiały się typowo łochowskie zapachy: roztrzaskanego obornika, spoconych koni, pyłochłonu, którym smarowano podłogi w biurze, duszącego dymu z terpentyniarni, chloru ze szkolnego wychodka czy kolejowych cystern przewożących chemikalia.

Teraz pora na dźwięki, te też były charakterystyczne dla swego miejsca i czasu. Poranek to pianie kogutów. Nawet zimą przez podwójne szyby dochodziła ich wrzaskliwa pobudka. Pobrząkiwanie garnków i fajerek przesuwanych na płycie to czas śniadania. Donośny głos mosiężnego dzwonka to czas lekcji przerywanych zgiełkiem pauzy. Gwizd parowozu na przejeździe i głuchy łoskot pośpiesznego z Warszawy to sygnał, że zaraz będzie koniec zajęć i pobiegniemy do domu. Myczenie krów wracających z pastwiska to czas chwytania aluminiowej bańki i biegnięcia po wieczorne mleko. Głuche „bum, bum, bum” i zanikający, falujący głos spikera – to głęboka noc i Tato nasłuchujący Wolnej Europy.

Takie były sygnały codzienności, inne odgłosy wyznaczały tygodnie, miesiące i lata. Dźwięk sygnaturki z wieżyczki kościoła w Budziskach zwiastował niedzielne nabożeństwo. Perlisty śpiew skowronka unoszącego się nad szarym, zmrożonym polem – to marcowe przedwiośnie. Zawodzenie czajek i suchy klekot bocianów – to nadchodzą ciepłe, długie dni. Strzelanie z klucza lub karbidu – to bliska Wielkanoc. Brzęk klepanego metalu – to wiosenne sianokosy. Warkot dieslowskiego motoru i zająkliwy, falująco niosący się po opłotkach dźwięk – to jesienna młócka zboża. Donośne gęganie i łopot skrzydeł domowego ptactwa żegnającego odlatujące klucze bocianów, żurawi i dzikich gęsi – to wrzesień. Ponure krakanie przelatujących stad wron – to listopad. Jasne, podrygujące dzwonki przy saniach i końskie parskanie – to śnieg, kulig i nadchodzące Święta. Czarny wirujący krążek z napisem MUZA, melodie tang i walców, płynące z adaptera – to karnawał i zabawa w Rejonie Lasów. Do 22-giej pozwalano mi wybierać melodie, sprawdzać ostrość igieł w główce patefonu i czyścić z kurzu płyty.

Były też dźwięki zwiastujące koniec jakiejś epoki. Takim był przenikliwy dzwonek ministranta prowadzącego księdza do chorej Babci. Potem był łopot czarnej pogrzebowej chorągwi stojącej przy furtce i stukot ziemi o wieko trumny. Babcia umarła latem, a my niedługo potem przeprowadziliśmy się do Siedlec.

Łochowskie stoły nie pojechały do nowego mieszkania. Były za duże i nijak nie pasowały do ciasnych, wąskich pokoi i kuchni. Nie pojechała także Kinia. Na tydzień przed naszym wyjazdem gdzieś zginęła. Chodziliśmy po okolicy, nawoływali, pytaliśmy sąsiadów – nic z tego! Na złom poszedł stary samowar i naftowe lampy. Gdzieś przekazaliśmy posagowy kufer, a może po prostu został na strychu? Część rzeczy jakoś udało się poupychać w nowym mieszkaniu. Uchowal się stary francuski zegar z wahadłem i tak jak dawniej wybijał godziny. Znalazła swoje miejsce gdańska szafa z rzeźbionym cokołem, ale większość naszych sprzętów, zwyczajów i doświadczeń nie pasowała do siedleckich warunków. Trudno było chodzić po twardych trotuarach i bruku ulicznym, trudno było znaleźć się w nowej szkole. Pośród murów brakowało swobody i przestrzeni. Tylko park miejski ze stawem i górką dawał jakąś namiastkę poprzedniego życia. Taką namiastką była także Czarna Droga prowadząca przez pola do stawów rybnych. Ale Siedlce to osobny rozdział życia i tego opowiadania.

Do Łochowa przyjeżdżałem kilka razy, głównie aby zająć na cmentarz, przejść się obok starej szkoły i zobaczyć, co zmieniło się na Stefaninie. Wszystko było jakieś inne, małe i szare. Zamiast dawnego bagna znalazłem lekko podmokłą łąkę. W miejscu czworaków widniały jedynie doły pełne gruzów. Szkoła za Przejazdem stoi do dziś, ale nie ma już w niej uczniów. W trakcie jednego z przyjazdów zupełnie przypadkowo spotkałem naszą dawną sąsiadkę. Od niej dowiedziałem się, że prawie wszyscy znajomi wyjechali, a mój kolega Andrzej nie żyje. Upływ czasu najlepiej widać po dawnym młodziaku, gdzie ongiś zbierałem maślaki, a gdzie dziś szumią wysokie na kilkanaście metrów sosny.

Szczególnie w pamięci utkwiał mi jeden z pobytów. Jechałem pociągiem z Warszawy i spontanicznie postanowiłem wsiąść w Łochowie. Do odjazdu następnego, ostatniego w tym dniu pociągu, miałem około godziny czasu, więc mogłem jedynie odwiedzić grób Babci. W kiosku na stacji kupiłem znicz i zapaliki. Cmentarz jest stosunkowo niedaleko od stacji, ale to było późne zimowe popołudnie. Zanim oblodzoną szosą dotarłem do cmentarnej bramy, było już całkiem ciemno. Od furtki prowadziło kilka śladów, ale w bocznych alejkach śnieg sięgał powyżej kolan. W ciemnościach nie mogłem zorientować się, gdzie trzeba skręcić. Wszystkie przejścia były podobne, a nagrobki, nawet te najwyższe, zakryte były poduchami śniegu. Po kilku nieskutecznych próbach zrezygnowany postanowiłem zapalić znicz na którymkolwiek najbliższym grobie. Odgarnąłem ręką śnieg, aby postawić lampkę. Gdy ją zapaliłem, ze zdziwieniem i wzruszeniem zobaczyłem na płycie imię Olimpia. To był grób Babci.

Gdy byłem w Łochowie ostatni raz, nasz dom był już rozebrany. Wszędzie walały się resztki desek, stare kafle, cegły i potłuczone szkło. Wraz z żoną odszukaliśmy kilka „pamiątek” – żeliwne drzwiczki do pieca, pogrzebacz i buteleczkę od lekarstw. Tyle pozostało w miejscu, gdzie przez sześć lat był Dom.

Białystok, 7.10.2006 r.

**Tadeusz Ruffiński**

**A n d r z e j L e w k o**

## **EPITAFIA**

### **Nagrobek grubasa**

Żeby się zmieścił – jeszcze zawczasu  
Wyjęli bramę niebios z zawiasów.

### **Nagrobek podrywacza**

Choć miał w podrywaniu bilans dodatni,  
To flirt ze śmiercią był tym ostatnim.

### **Nagrobek złotej rączki**

By coś naprawić, miał dobre chęci,  
Lecz niespodzianie sam się przekręcił.

### **Nagrobek duszy towarzystwa**

I na balu wszystkich świętych  
Doceniono jej talenty.

### **Nagrobek romantyka**

Zajrzał śmierci w oczy  
I się zauroczył...

### **Nagrobek dryblasa**

To był raczej szok dla niego,  
Kiedy ujrzał... Najwyższego.

### **Nagrobek księdza**

Śmierć się okazała dlań skarbnicą doznań,  
Bo wreszcie mógł szefa osobiście poznać.

### **Nagrobek lokatora**

W domu Pana Boga mamy mieszkań wiele,  
Dziś został jednego prawnym właścicielem.

**A n d r z e j L e w k o**

Fraszki nagrodzone w konkursie im. J. Grossa  
(Gorzów Wielkopolski).

---

---

**K a z i m i e r z S ł o m i ń s k i**

## **A F O R Y Z M Y**

**Przy drzwiach zamkniętych może  
zabraknąć klamek.**

**Nie wszystkie kwiatki w ogródku miłości  
to niezapominajki.**

**Mydlą nam oczy. Czy przez to czyściej  
widzimy?**

**W ciemnocie mózg sprawniej błądzi.**

**Dziadostwo chętnie się panoszy.**

**Nie każdego pióro jednakowo uskrzydla.**

**Wolność zapewnia prawo do bycia sobą.**

**Polityczne fanaberie gwarancją niepokoju.**

**Przy braku rozrywki dobre i rozgrywki.**

**W pogodną noc księżyc lunatykuje  
nie tylko na niebie.**

**Przy blondynkach nawet łysi mogą głupieć.**

**Prawda leży zazwyczaj z czyjąś krzywdą.**

**Los człowieka w środku nie musi być  
pusty.**

**W głąb ludzkiego wnętrza garb jakiś  
się wypiętrza.**

**Jak już musi komuś odbijać, to najlepiej  
w lustrze.**

**Jak się ciało z ciałem styka, to zaczyna się  
mistyka.**

**W kołach dobrze umocowanych sprawniej  
się kręci.**

**W mózgu logika nieraz dostaje bzika.**

**W wirtualnym świecie też rajy nie  
znajdziecie.**

**I z natury ludzkiej wylazi, co maluczkie.**

**W trakcie natchnienia uaktywniają się  
uzdolnienia.**

**Kłeska urodzaju? Byle nie owoców  
zakazanych.**

**Orły nie muszą być dwugłowe, wystarczą  
dwulicowe.**

**Jak być? Najlepiej sobą.**

**Arystokracja była obciążona dziedzicznie.**

**Lepiej bywało nim się zestarzało.**

**Brak kultury wizytówką co poniektórych.**

**Prawdziwa cnota przyszywanej się nie boi.**

**Daty – słupy milowe upływu czasu.**

**Drogą donikąd trudno dojść do siebie.**

**Korzystaniu z życia nie służą nadużycia.**

**Na początku było słowo. A potem wieża  
Babel.**

**Od pokusy do pokuty zwykle chodzi się  
na skrót.**

**Władze umysłowe jeszcze nie panują  
nad światem.**

**Kain. Ten to dopiero ma znaczenie!**

**Podobno filozofowie są po to, żeby jeszcze  
poznawać ten świat.**

**Jednostka ludzka w statystyce jest  
maluczka.**

**Garb psychiczny rośnie nam od środka.**

**Im bliżej mamony, tym bardziej człek  
otumaniony.**

**Kraina białych niedźwiedzi to jeszcze  
nie Arkadia.**

**Na wodzie z mózgu wypływają szumowiny.**

**Diabeł nie grzeszy, kiedy nas kusi.**

**Z drzewem genealogicznym lepiej  
nie przesadzać.**

**W pustych głowach nie milkną echa  
nie wiadomo czego.**

**Są i służby specjalne do działań  
niespecjalnych.**

**Wiele granic to granice bez przyzwoitości.**

**Dobro zmienia nas na lepsze.**

**Babie lato wskazuje, że już nici z lata.**

**Mój portfel jest uczulony na operacje  
cenowe.**

**Czy w drabinie do nieba liczą się szczeble  
kariery?**

**Uwaga, zła droga! Tylko że nie ma takich  
drogowskazów.**

**Zaślepionym nawet dodatkowe ślepią  
nie pomogą.**

**Nie każdy ma to okno na świat  
od słonecznej strony.**

**Kult głupoty ma najwięcej obrządków.**

**Pokusy zawsze znajdują ludzką słabość.**

**Ciężar problemu zawsze jest jakiś  
niewłaściwy.**

**Autostrada do nieba to droga, na której  
można się zbyt drogo przejechać.**

**Wydrwigrosze chętnie liczą na nas.**

**Kiedy przemawiają liczby, my ulegamy  
dewaluacji.**

**Dług niewdzięczności zależy od tego  
kto komu.**

**Knoty świecznikom dodają majestatu.**

**Kanał telewizyjny dobrze służy ściekom  
propagandy.**



Dziurka w budzecie? To pewnie od klucza partyjnego.

Od cudowania cudów nie przybędzie.

Lepiej nie zapijać goryczy kielichem.

Bez normalizacji niejedno mogłoby być normalne.

Nie dość, że dno moralne, to jeszcze nieźle zamulone.

Nie wszyscy decydenci na stołkach tacy święci.

Co się w życiu liczy? I dlaczego pieniądze?

Palcem serdecznym nie obsługuje się serduszka.

Bies na kobiety też może trafić na diabolicę.

Grosz? Maluczko, a znowu pożre go inflacja.

Ktoś nam próbuje zanieczyszczać źródła energii życiowej.

I znowu dno zbyt wysoko się wypuczyło.

Lepiej nie być obcym temu, co ludzkie.

Rozdwojony język żmii nie świadczy o jej rozdwojonej jaźni.

Czasem mam wątpliwości, czy to aby te Muzy pchają się na Parnas.

Kicz to tylko obraz nędzy artystycznej.

Nie wszystko, co przychodzi do głowy, musi się w niej szarogęścić.

Bywają wieki ciemne, ale za to lata świetlne.

A co, jeżeli przy sztucznej inteligencji naturalna okaże się już niepotrzebna?

Węzeł małżeński może być gorszy od gordyjskiego.

Niskie pobudki mogą mieć wysokie aspiracje.

Nie wszystko, co jest grane, ma coś wspólnego ze sztuką.

Dyskusja powinna być rzeczowa. Żeby było wiadomo, do kogo należą rzeczy.

Za figurantem wlecze się cień figury.

Reszka nawet orła może uskrzydlić.

Poezja to mowa wiązana. Sami poeci nie wiedzą z czym.

Na każde zawołanie Muza nie przystanie.

Świt przywraca świadomość.

Brak już słów na to, że ciągle brak pieniędzy.

Piramida społeczna. Tysiące maluczkich musiało ją wznosić.

Literatura mniej piękna szybciej się rozmnaża.

Na zgrabne nogi trzeba bardziej uważać.

Amerykański uśmiech nie świadczy jeszcze o demokracji.

I grafoman chciałby być jak nie księciem, to chociaż hrabią poetów.

Przy butelce łatwiej osiągnąć dno.

Stolki stołeczne niekoniecznie służą lepszym tyłkom.

I w recepcie na szczęście nie zaszkodzą gorzkie pigułki.

Uroda nie zawsze bardziej ęci spod makijażu.

Ciekawe, na ile to piekielko jest jeszcze takie polskie.

Może i był człowiek z marmuru, ale więcej było tych z betonu.

**Obraz świata zachodzi mgłą dezinformacji.**

**W dobie prywatyzacji wspólne dobro  
odsądza się od racji.**

**Przy ognisku domowym diabeł też się lubi  
ogrzać.**

**Powabny kociak zawsze spada na cztery  
litery.**

**Pech! Miał te swoje pięć minut dopiero  
za pięć dwunasta.**

**Latawiec i latawica – dwie zabawki.**

**Propaganda się szerzy i mówi, w co mamy  
wierzyć.**

**Niejedna myśl nieludzka stawiała się idea.**

**W jedynie posłusznej sprawie zawsze  
znajdą się pożyteczni idioci.**

**Myślę. To wcale nie takie najgorsze  
dziwactwo.**

**Błądzą. Tyle jest we mnie bezdroży!**

**Świętości nie tak łatwo zaszargać na amen.**

**Politycy – to pewnie tacy cywilizowani  
dzicy.**

**Głupota uzależnia.**

**Gorzej, kiedy głowy od środka zakute.**

**Słoń ma wielkie uszy, ale za skrzydła  
mu nie posłują.**

**Linia porozumienia byłaby prosta, gdyby  
nie musiała być łamana.**

**Odgrzewane kotlety nie okraszają ci diety.**

**Niejeden myśli, że jest orłem, bo siedzi  
na reszce.**

**W dobrej wierze klepie się pacierze.**

**Zwierzę w człowieku? A co, jeśli bezbronne  
i zaszczute?**

**Chowamy duszę za pazuchą. Żeby się  
trochę ogrzała.**

**Na jakieś światelko w ciemnocie też warto  
mieć nadzieję.**

**Nie tak słodko być matolem, kiedy życie  
daje szkołę.**

**Święte krowy i nieświęte skurczybyki –  
to inwentarz jest dość dziki.**

**Bóg jest jeden. Tylko po co mu tyle religii?**

**Wiara już zdobywała armaty. Ale po co  
miałaby przenosić góry?**

**Prawo i lewo. Które dziś bardziej  
zboczone?**

**W chińskim alfabecie trudniej rozpoznać  
literę prawa.**

**Newsów nadziewanych fałszem nie podaje  
się na deser.**

**Mania pokrętności nie przysparza zbytnich  
przyjemności.**

**Czasy niby ciekawe, tylko dla ludzi jakieś  
cienkawe.**

**Kikutem ludzkiego języka belkot medialny  
z treścią się boryka.**

**Zabarwienie uczuciowe jest po to, żeby  
nie było zbyt szaro na duszy.**

**Dzisiaj i źródła natchnienia mają swoje  
zanieczyszczenia.**

**Wynalazek kieszeni na lepsze nas  
nie zmienił.**

**Władza ma kłopoty z inteligencją. Sztuczna  
nie będzie wyjątkiem.**

**Taki niby węzeł gordyjski, a taki  
przeciętny!**

**Burdel nierządem stoi.**

**Niektórym marzy się panowanie  
nad światem zamiast nad własną głupotą.**

Impotencjał umysłowy w najuczeńsze  
trafia głowy.

Już stanął na wysokości zadania, a ona  
jeszcze się wzbrania.

Sedno sprawy? Zazwyczaj tkwią w nim  
czyjeś sprawki.

Politycy potrafią być wyborni, co widać  
po wyborach.

Pieniądz okradany z pokrycia inflaczej.

Koło historii jest już wystarczająco  
skołowacone.

Niedobrze, gdy z głupoty ludzkiej robi się  
nieładzka.

Pojemność mózgu pozwala to i owo  
pojmować.

Bez twarzy – to jeszcze nie znaczy,  
że bez gęby.

Orły dwulicowe wiedzą, gdzie gniazdować.

Czym pachną ładne kwiatki z partyjnej  
rabatki?

Chwile zapomnienia miewa się na okrasę  
pamięci.

Programowi trzeba się przyjrzyć, żeby  
zobaczyć, gdzie jest gwóździ.

Waga problemu niekoniecznie bywa  
lekkopółśrednia.

Są i tacy, co chcą cofać się do przodu.

Falsz na straży prawdy ma się dobrze.

Czas terażniejszy – trochę różny, trochę  
niewyraźny.

Złożone problemy szybciej nas rozkładają.

Matoly ze szkoły życia nieraz trafiają  
do kicia.

Podwyżki są po to, żeby było pod górkę.

Czy dewizy są bardziej życiowe od  
złotówek?

Mieć własne zdanie? Może wystarczą trzy  
grosze.

Przy nadmiarze płci przestaje być  
wiadomo, która ma być piękna.

Niektórzy niechętnie się obnażają, żeby  
nie było widać, że nie mają wstydu.

W świetle prawdy lepiej widać niejedną  
cień.

Stek kłamstw też powinien być dobrze  
wysmażony.

Nie wszyscy poeci muszą być tacy  
arcydzielni w zmaganiach z Muzą.

Propaganda na pewno nie pozwoli ci  
za bardzo zmądrzeć.

Za komuny „Izwestija” nie mijały się  
z „Prawdą”.

Król i błazen. Najgorzej jak dwa  
w jednym.

Nie tylko dzięki nogom kobieta może zajść.

Tyle tych lekcji historii, a my wciąż  
niedouczeni...

Można grzeszyć myślą. A bezmyślnością?

Och, jak te media lubią klócić się z logiką  
faktów!

Myśl – przybywając do głowy – pragnie  
zrozumienia.

Myślkształty też wysuwają swoje macki.

Podlegam prawu grawitacji, więc ciągle  
mi coś ciąży.

Nie tylko poeci mówią językiem  
pozarozumowym.

K a z i m i e r z S ł o m i ń s k i

## ZASIADAM DO DESERU PROWOKACJA

Zafundował mi go znany mi od dawna i rozweselający mnie w potrzebie swymi tworam Kazimierz Słomiński. Były student filologii rosyjskiej Uniwersytetu Gdańskiego, były pracownik dydaktyczny Uniwersytetu Białostockiego, obecnie emeryt nadal aktywnie działający społecznie w Nauczycielskim Klubie Literackim w Białymstoku. Redaktor kwartalnika literackiego „Najprościej” oraz dwóch antologii poetyckich wydanych przez NKL w Białymstoku: *Aby nie umknęło słowo* (1994) oraz *Otwieranie słowa* (2017), ale nade wszystko znakomity aforysta i fraszkopisarz. Debiutował w 1971 roku Informatorem Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”. Opublikował dotąd jedenaście tomików, w tym dwa z fraszkami – *Z fraszka na co dzień* (2017) i *Fraszki uśmiechu warte* (2020) oraz 9 tomików aforyzmów. Dwa ostatnie to: *Błazny myślą dzwoneczkami* (2022) i *Duch czasu jakiś niespokojny* (2024). Jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Propozycja jest z gatunku „Nie do odrzucenia”. Skonsumujmy więc tytuł ostatni. Deser zawsze jest na końcu, więc my też przewrotnie zaczniemy od końca. Może śmiech sprawi, że nasz osobisty duch nieco się uspokoi. Autor kończy przecież tomik stwierdzeniem dającym nadzieję: „Żyjemy w okresie przejściowym. Potem będziemy po przejściach”.

Protestujesz Czytelniku?!

Zgódź się chociaż na cień nadziei. Nie może być aż tak źle, jeżeli autor dziwi się, „Że też Opatrzności ten świat się jeszcze nie opatrzył!” Pewnie to ona, ta Opatrzność, wzdycha: „Ach, te uroki na miarę i bezmiar epoki!” albo „Ach, zrozumieć terażniejszość i być od tego mądrym!”

Zdarza się. „Bezmyślność ma kolosalną żywotność.”

„Ciągłe uczyć się czytać w swoich myślach.” Ale... autor uświadamia mi, że „Myśli są po to, żeby zachodzić w głowę.” Są też „...jak banknoty. Papierowe mogą udawać złote.” Proszę was, drodzy Czytelnicy, myślcie, nie leńcie się – „Myślenie ma przyszłość, rzadziej terażniejszość.” Przecież „Mroki średniowiecza jeszcze się w mózgach nie rozproszyły”, jeśli księża odpowiadają egzorcyzmom dla usunięcia złego ducha. „Gdzieś w głowie znajduje się jądro ciemnoty.” Widocznie „Można przechytryć własny rozum i mieć z tego satysfakcję.” Szkoda, że tego nie potrafisz.

Podobno „Głośna bezmyślność jest bardziej normalna niż głośne myślenie.” „Mądrzejsi od nas głupieją intelektualniej”, więc może warto. „Głupich nie sieją, ale plon z nich zbierają”, a „Głupota ludzka przeobraża się w nieludzką.” Więc ostrzegam: „Homo homini bez potrzeby niech nie świni”.

A propos „Człowiek nie musi brzmieć dumnie. Wystarczy jak brzmi po ludzku.” Przecież „Człowiek jest tylko człowiekiem. Nawet kiedy go udaje.” Czasem „...bywa niemożliwy, a to źle wpływa na jego możliwości.” Jak myślicie, czy „Człowiek współczesny to też jeszcze człowiek.”? Pomyśl Czytelniku i odpowiedz na pytanie Kazimierza Słomińskiego: „Człowiek i Bóg. Którego ładniej stworzył?” Tylko szczerze!

Myślę, że „Jeżeli rzecz mówi sama za siebie, to człowiek też mógłby”. A Wy jak myślicie? Tytuł tomiku brzmi: „Duch czasu jakiś niespokojny”, ale w tekście autor dodał: „Już za dnia straszy.” (patrz s. 14). No to „Boję się o zawartość ludzkiej głupoty w sztucznej inteligencji.” Czy wiecie państwo, „Jak obliczyć wieloraz ćwierćinteligencji?” A, nie wiecie! W tej sytuacji niewykluczone, że „Jeszcze wprowadzą kartki na używanie rozumu”. Wszystkiego można się spodziewać.

Autor poucza: „Jest dobro doczesne. Tylko zło jakieś ponadczasowe”. „Jest i gówno prawda. Choćby w zasranej polityce.”

Tu muszę zastosować dygresję, bo autor mnie zaskoczył użyciem dotąd przez niego nie stosowanego słownictwa, a tu nagle dwa brzydko pachnące wyrazy. Wprawdzie słowo na g ma rekomendację ks. Tischnera, gorzej z tym drugim. K. Słomiński dotąd unikał obsceniczności,

grubiaństwa, słonych dowcipasów. Cóż, postąpił zgodnie z duchem czasu, w którym swój sens dawno straciło określenie *język parlamentarny*. Dobrze, że tej innowacji nie wprowadził do swych pikantnych aforyzmów, w których wykorzystuje dwuznaczność lub grę słów, np. „Gra miłosa na organach – wskazana.” – pikantny a subtelny. Bo autor to nie satyryk. Świat obserwuje oczami wesołka i prześmiewcy. Ale, że w polityce zawsze czuć jakiś smrodek, to wszyscy wiemy. Myle się? Choćby ten smog w atmosferze. Politycy wolą go nie widzieć. „Jak sfajczą połowę globu, wypalą fajkę pokoju”, bo przecież „Na błędach się uczymy – jak je doskonalic.” A wiecie państwo, „Co mamy z wielkiej polityki? Guzik, na który nie wolno nacisnąć.”

„Dzisiaj to już tylko diabeł ma raj na ziemi.” Ale zastanówmy się – „I co po takim raj, gdzie jabłka spokojnie zjeść nie dają?” Zresztą „Fakty mówią. I to nie zawsze po naszymu”. „Nad wodą wielką i czystą ciągle nietrzeźwa jest rzeczywistość.” To trawestacja jednego z pięknych „Liryków lozańskich” Adama Mickiewicza – jeden ze sposobów budowania aforyzmu, który jest [podaję za Słownikiem terminów literackich] rodzajem maksymy, sentencji lub złotej myśli, będącej lapidarną, często jednozdaniową wypowiedzią wyrażającą filozoficzną lub moralną prawdę w sposób osobisty, zaskakujący, nieoczekiwany, wieloznaczny, metaforyczny z użyciem paradoksu lub antytezy. Maksymę cechuje jednoznaczność zawartej w niej wskazówki moralnej, sentencję prostota i zrozumiałość, a złotą myśl pochodzenie ze znanych dzieł.

„I słowa można kojarzyć tak, by były ze sobą szczęśliwe.” – ten aforyzm oparty o personifikację słowa „słowo” wydaje się być głównym zadaniem postawionym przed sobą przez K. Słomińskiego. Jakimi sposobami to osiąga? Oto kilka przykładów:

„Nie jestem analfabetą, znam obiecadła przedwyborcze.” – neologizm autora budzący skojarzenie z abecadłem. „Fikuśne perfidniej nas kusi” – brzmienie powtórzone w wyrazie fikuśne. „Nawet w nicości kryje się jeszcze to coś” – połączenie powtórzenia z paradoksem. „W prozie życia ktoś musi rządzić narracją” – tu zwrot metaforyczny umożliwia wprowadzenie słowa narracja. Identycznie tutaj: „Nawet po burzy mózgow nie zawsze pojawia się tęcza”. Zdecydowanie najciekawszym aforyzmem w tym zbiorze jest przytoczony wyżej efekt logicznego myślenia – pytanie: „Człowiek i Bóg. Który którego ładniej stworzył?”

„Z chaosu boskiej myśli zaczął wylaniać się świat.”

„Taki to obraz świata, że puzzle nie chcą do siebie pasować.” Myślę, więc... Nie, nie myślę! „Dziś wystarczy, że jestem, bo nie chce mi się myśleć.” „Myśli mi się rozmyśliły i jestem na luzie.”

„Taka bajka: koalicja w krainie czarów i koszmarów.” No to: „Czary-mary i ocknęliśmy się w krainie rozczarowań.” No to do usłyszenia. Aha!

Postscriptum.

Skąd podtytuł PROWOKACJA?

Gdy zaczęła się awantura na granicy z Białorusią, opublikowałam zestaw wierszy związanych z problemem migracji począwszy od Lampedusy. Wysłałam do trzech wydawców. W całości znalazł się tylko w „Gazecie Kulturalnej”, redagowanej przez Andrzeja Dębrowskiego. Pozostali stchórzyli. Nie czytali pewnie aforyzmów K. Słomińskiego i nie wiedzą albo zapomnieli, że „Książki są zwykle mądrzejsze od cenzorów.” Był w tym zestawie wiersz zatytułowany:

DUCH CZASU

Wzięłam do ręki smartfon,

by połączyć się z duchem czasu.

Ekran ujawnił zakapturzony kontur

bez twarzy...

Sądzę, iż teraz staje się zrozumiałe, że tytuł ostatniego tomu aforyzmów K. Słomińskiego musiał sprowokować mnie do sięgnięcia po niego w nadziei, że znajdę w nim tę t w a r z. Sprowokowało mnie to do eksperymentu polegającego na sprawdzeniu, czy da się, to co zamierzam, powiedzieć słowami aforysty. To właśnie z tego powodu postanowiłam podkreślić wszystko, co powiedział autor, by unaocznic, że właściwie większość tekstu należy do niego. Moja rola ogranicza się do wyboru i w miarę logicznego powiązania aforyzmów, a że cudzysłowy niezbyt wyraźnie to uwidaczniają, zastosowałam podkreślenie.

W myślach słyszę Czytelniku, jak pytasz, czy tę twarz ducha czasu znalazłam. Odpowiadam: częściowo.

Przyczyny widzę dwie. Pierwsza to przyjęty przez K.S. niesprzyjający temu alfabetyczny układ całości, powodujący rozproszenie tematyki, za który odpowiada autor. Druga, znacznie ważniejsza, to *i s t o t a w s z e l k i c h d u c h ó w – i c h n i e u c h y t n o ś ć*.

Mimo to spróbuję wyłowić z całości obraz ducha czasu wpisany w tekst tomiku. „Krzywe zwierciadło może wydobyć prawdziwą twarz”; chociaż „Nadzieję najczęściej karmi się złudzeniami” – „Na etykietce „Demokracja”, a w środku szwindelniespodzianka”. „Krecia praca u podstaw nie zastąpi organicznej”. „I kto powiedział, że demokracja ma być dla ludzi?” Lub prawo! Kto wie, „Jakim prawem rządzi się sprawiedliwość?” Albo „Prawo i Sprawiedliwość”?! „Na prawo i lewo można obejść prawo.” Niejeden „Czmychnął przez lukę w prawie i odtąd jak czmycha tak czmycha”... Oby nie w kosmos? „Ufam, że powrót kosmosu do chaosu nie jest możliwy”. Ale kto wie?

„Dopiero człowiek pokaże Ziemi, co to jest chaos.” I śmietnik. „Dziwna ta Ziemia. Nawet anioły na niej kiedyś upadły.” „Dygnitarz w osobniku ważniejszy od człowieka”, a „Figurant przy figurze figę znaczy”. Niestety, obecnie „Na świat przychodzą pokolenia niżej politycznego”. Można zaobserwować „Ugorowanie mózgów? Może się do reszty nie wyjałowią”. Ciekawe, jak poradzą sobie ze Sztuczną Inteligencją? „Udała się diabłom sztuczka, że wszystko ma być sztuczne”. „Głowa już puchnie od tego, co na nią przypada”. „To już prawie wariatkowo. Tyle tu pożytecznych idiotów.” „Trwa festiwal środków masowej dezinformacji”. Pytam: „Czy woda lana z mediów to płyn ustrojowy?”

Reasumując: To co w końcu z tym duchem czasu i jego twarzą ?

Nie ukrywam, że autor jego twarzy całkiem nie odsłonił. Widać „Naga prawda nie bardzo pasuje do naszych klimatów.” Odsłonił jednak wiele jej grymasów, a w nich brak spokoju. To dobrze. Nie zapominajmy, że „Gorzka prawda ma właściwości prozdrowotne”.

Bezpośrednio wymienił kilka „strachów”, które nie dają nam spokoju. To wspomniana już wyżej obawa o ilość głupoty, w którą wyposażymy Sztuczną Inteligencję, a także, że „Nie każdemu marzy się wielkość na miarę człowieka”, że postępuje pustynnienie umysłów, że „Nastąpi odnowa i znów stare będzie od nowa”, że „Już dojrzewają przyczyny do kolejnych skutków”, że... wreszcie strach irracjonalny – „Skąd weźmiemy obol dla Charona, gdy nie będzie gotówki?” Ale wyraźnie i jednoznacznie stwierdził, że „Najbardziej straszy nas duch podłych czasów.” Teraz „Już za dnia...”

Jednak niepokój ducha czasu najlepiej opisany – stop, unaoczniony! – został nie słowem, a wyeksponowanym na okładce obrazem Roberta Delaunay *Czerwona wieża Ejffla*, namalowanym w 1911 roku, poprzedzającym mającą wkrótce wybuchnąć wojnę. Na nim wieża:

*C z e r w o n a z e m o c j i , n o g i j e j s i ę g n ą i t r z ę s ą , g ł o w a z n i k a w c h m u r a c h .*

**Z o f i a G r a b o w s k a – A n d r i j e w**

Kazimierz Słomiński. *Duch czasu jakiś niespokojny. Aforyzmy*. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2024.

---

---

**Irena Słomińska**

## **ZE SNU RODZI SIĘ DZIEŃ**

*Sny – własny świat człowieka. „Na jawie ludzie żyją we wspólnym świecie, ale we śnie każdy wędruje po swoim własnym” (Heraklit).*

Władysław Kopaliński. *Słownik symboli*

Czas z jego ulotną materią, który próbujemy zamknąć w klepsydrze, uchwycić jego przemijanie, pochwycić i nazwać także jego niezgłębioną tajemnicę... Tajemnicę nas, ludzi, naszego życia, przemijania i tego, co kruche, a jednak nie przemija. Grażyna Cylwik kreuje swoje „ja” liryczne na pograniczu jawy i snu, w rozedrganym, zmiennym krajobrazie nocy (pierwsza część), później dnia. Subtelne, ledwie muśnięte, niedopowiedziane odpryski zdarzeń emocjonalnych wydobywają i natłok, i burzę myślową, wrażeniową – preludium snu („Bezsensowność”, „Nocne marki”). I wtedy *sen spada jak ptak / zabiera ciszę. Ale: otulona w aksamit nocy / rozsypuję pył szczęścia*. Stany emocjonalne oscylują między niepewnością a spełnieniem. Między wiarą w ocalającą moc snu a samotnością przebudzeń, przeżyta niegdyś miłością, otwierającą optymizm dnia i nieustającą tęsknotę. Nietrwale, kruche są te krajobrazy „ja” lirycznego, a zdumiewająco silne. Autorka zdaje sobie sprawę z ostatecznej niedookreśloności siebie (w domyśle – także świata). A jednak opoką jest miłość i ona otwiera ją na dzień. Miłość miniona? Przyszła? Czy też cecha osobowości? I wtedy, przebudzeni ze snu, wychodzimy w światło dnia (druga część). Na jawie dochodzi do głosu, już pełnego, pamięć. Dochodzi do głosu za pomocą „czułych strun”, muzyki osobowości, w trzech wierszach tomiku pojawia się uliczny skrzypek, gdzie indziej *nokturn Chopina / przynosi ukojenie*. Czy to szczęście, czy jego iluzja – zdaje się pytać poetka.

Ta część zaczyna się radośnie. „Ja” liryczne spaceruje ze słońcem *pod rękę, a morskie fale / całują stopy*. I choć zdarzył się „Dzień niepogodny”, *spacer ponad tęczę / spełnił wszystko*. Ale autorka wciąż zmaga się z przeszłością, *klepsydra skrywa tajemnice* i mimo to świat się odradza. Wzrasta zainteresowanie czytelnika – co to za tajemnica? Odpowiedź wydaje się prosta – miniony bliski człowiek, tęsknota... A jednak nie istnieją proste odpowiedzi, gdy zdamy sobie sprawę, że każdy człowiek jest tajemnicą. I mityczny „On” i „ja” liryczne autorki. Wspomnienia „uśmiechają się”. Wiodą od „Niego” do innych ludzi. I świat się otwiera.

**Irena Słomińska**

Wstęp w: Grażyna Cylwik. *Tajemnice klepsydry*. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2024.

---

**Tadeusz Dudek**

### **WZRUSZYŁEM SIĘ...**

#### **Komentarz do składanki poetyckiej na Dzień Niepodległości**

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba/ podnoszą z ziemi przez uszanowanie/ dla darów nieba,/ tęskno mi, Panie – Cyprian Kamil Norwid.*

Poeta ubogi, choćby i z głową w chmurach, jeśli właściwie odczytuje znaki czasu, może i boso chodzić zarówno po rżysku, jak i po czerwonych makach, byle nigdy nie tracił nadziei. Wszak nie o wygodę tu chodzi, ale o miłość, o piękno w duszy, a choćby o kroplę krwi w każdym słowie, pewnie i o wyobraźnię, przecież i o wiarę naszych przodków, z czasem warto się też w sobie nieco wyciszyć. Wzruszyłem się tą poezją poetów podlaskich na Dzień Niepodległości. Nie dość, że prosto z serca wypełnionego miłością do ojczyzny, to i z wielkim zaangażowaniem umysłu i słowa, z gracją, polotem i kunsztem poetyckim.

Anna Czartoszewska od początku stara się nas wprowadzić w bojowy nastrój, uderza jak w bęben, kilka swoich wersów ubiera w moro, na koń wsadza, broń daje do ręki, a na koniec parę

rozpali jak znicze dla naszych bohaterów, bo choć tyle może biedny poeta. W kolejnym podkreśla, że i w wolnej Polsce nie tyle ważne są te przysłowiowe już zielone w garści (liście), ile ten nasz wspólny i oby umiłowany dom. W jesieni swojego życia bardzo się z tym utożsamiam (nawet czerwony paździenik inaczej się mi dziś kojarzy między uszami). Józefa Drozdowska w wierszu „Ochotnik” kreśli z grubsza losy prostego żołnierza o wolność naszą i waszą – *w jego niebieskich oczach koloru kwitnącego lnu/ chwile obecne przenikają się ze wspomnieniami. Szedł i nucił, bo kochał śpiew i dziewczynę/ która nigdy nie stała się jego żoną*, martwił się też o siostrę i matkę, a walczył o to, aby jutro było mu dane ściąć choć kilka głów kapusty z zagonu albo dokończyć rąbania drewna na opał. W kolejnym poetka miała wizję, zobaczyła cień orła i usłyszała z *oddali radosny pisk orłąt/ jezioro i las i serce jej płonęły/ w jaskrawoczerwonym słońcu*.

Jolanta Maria Dzienis tak oto podsumowuje w wierszu ślubną ceremonię swoich rodziców z jedenastego listopada: *Dzwon zaś obwieścił sercem ze spiżu,/ ktoś wolność zyskał, a ktoś ją stracił...* Po tym nieco żartobliwym wstępie przechodzi w nuty bardziej rzewne. Otóż, jej zdaniem, *po ziemi podlaskiej trzeba chodzić bosol/ Dłońmi muskać chmury wplątane we włosy/ Łowić woń powietrza w nozdrza rozszerzone*. Poetka składa za nią dzięki w modlitwach do Boga.

Krystyna Gudel w swoim pierwszym wierszu wspomina żołnierzy wyklętych, pamięć ich zawodzi często na bezimienne cmentarze. Trzeba uważać, by nie przegapić – niejeden grób chowa się tu jeszcze między drzewami, pod byle polnym kamieniem, a inny wciąż trzyma się kurczowo zmurszałego krzyżyka na drodze. W kolejnym poetka kreśli swój los, *w meandrach Biebrzy rodzi się piękno,/ a pola zdobi złocisty kłos*. Wyznaje: *Przydrożne krzyże kroniką wiary,/ a na rozstaju kapliczki zrąb/ – tu jest mój dom*. Słowa takiej mądrości życiowej można wyczytać zarówno w wierszu, jak i między jego wersami. A gdy przyjdzie na to czas i sposobność, z pewnością warto też spojrzeć głębiej w oczy samej poetce. Janina Jakoniuk przyznaje się do swoich korzeni.

Urszula Krajewska-Szeligowska w swoich akrostychach wspomina ułanów – polską kawalerię (*Kopyta koni zostawiły ślady w pamięci ich wnuków*), infanterię – szarą piechotę legionów polskich (*Czołgali się, ale nie poddańczo/ Honor wyznaczał im szlak*). Puentuje na koniec, że warto takich zachować w pamięci.

Regina Kantarska-Koper napisała *Aleksandryn na stulecie niepodległości Polski* – symbolem naszego kraju dla niej jest wolny ptak, nie ten czekoladowy (jak mniemam), bo barwy ma biało-czerwone. Trzeba uważać na takich, co mają gwiazdki w oczach, tęczową flagę ściskają w dłoni, a polskość uważają za nienormalność.

Joanna Pisarska tworzy swój wiersz w cieniu Chopina. Poetka swego czasu była (jak i ja) zafascynowana, namalowanym w patriotycznym zrywie, cyklem obrazów „Chopinowi Duda Gracz” – poświęciła temu nawet kilka swoich utworów, a w tym namawia: *zobacz w sobie pejzaż z którego jesteś/ pola i lasy wierzby wzdłuż drogi (...)* *zobacz z kogo jesteś/ ukołysany żołnierską nutą (...)* *przyjdzie czas/ że staniesz się historią*. Chwyta mnie za gardło jakaś łagodność, a jednocześnie moc tych strof.

Leonarda Szubzda kreśli pięknie nieco norwidowską linię horyzontu, która spina z niebem ziemię podlaską, kołysaną modlitwami *w różnych językach do tego samego Boga*, rodzime miejsca *gniazd/ kaflowych pieców/ przy których wciąż drzemią/ dzieże marzące o chlebie/ ze znakiem krzyża* czekają na powrót niebieskich ptaków. Jej wiersz wydaje się jak Dobra Nowina.

Wojciech Więckowski stara się nas nieco otrzeźwić w tym patriotycznym zrywie, niektórzy muszą ochłonać, a Jadwiga Zgliszewska wtóruje mu, zastanawiając się nad tym, czymże w istocie jest dla niej ta „niepodległość”. Pytanie z pewnością niełatwe, ale warto, by każdy je sobie dziś zadał. Nie jestem pewien, czy zgadzam się ze wszystkim, o czym poetka pisze, ale tych kilka słów zapadło mi w serce jako ważna przestroga: *a niepodległość nasza/ już co innego oznacza, swobodę na opak pojętą/ wolność aby bezkarnie deptać/ to co od wieków jest święte!*

Człowiekowi wszędzie może być dobrze (i powinno), ale przecież nie ma jak w domu, więc módlmy się, a nawet walczyliśmy o to, byśmy i po latach mieli dokąd wrócić.

Katowice, 11.11.2024 r.

**Tadeusz Dudek**

Składanka: *Podlascy Poeci – Niepodległej*. Portal internetowy „Poeci w sieci”, 11.11.2024.



**Joanna Pisarska**

## JAK W TO GRAĆ

Nie otrzymamy odpowiedzi na to pytanie ani w słowach tu wstępnie skreślonych, ani w całym tomie. Przeciwnie – pozostaniemy po przeczytaniu go z jeszcze większą liczbą dylematów. Autorka zrećźnie nam je będzie stawiała, nie stawiając, pytała, nie pytając, prowadziła na manowce, pozornie prowadząc za rękę, przygważdżała do muru, pozornie otwierając furtkę.

W swoim nowym tomie Regina Kantarska-Koper prowadzi bowiem słodko-gorzka grę o prawdę swojego życia, o prawdę relacji, wartości, codziennych rozterek i odkryć, spraw zasadniczych dla siebie i świata. Zasadniczych, bo jeśli nawet w pierwszej chwili wyda nam się, że jest mowa o cieście, to szybko pokaże się, że o krwi i łzach, a jeśli nieco dalej sądzimy, że o puzzlach i bajkach, to przekonamy się, że życie bohaterów jej wierszy – wywożonych do łagrów, poświęcających swoje bezpieczeństwo za prześladowanych, walczących o prawdę i sprawiedliwość społeczną, ale także życie jej własnych rodziców – już taką bajką nie było.

Wykreowana tu postać Pani Cantare – alter ego Autorki, żeński odpowiednik Pana Cogito – analizuje i komentuje rzeczywistość. Codzienną, dotkliwą, rozczarowującą, bolesną. Rzeczywistość drugiego człowieka – wiarołomcy, zdrajcy, depreczającego godność i zasady. Rzeczywistość osobistych słabości i ograniczeń, kiedy *rozmarzona/ potyka się o własne artretyczne stopy*, bowiem *pani Cantare nie wiedziała, że życie aż tak boli*.

Ale może właśnie tego rodzaju odkrycia są potrzebne, by zobaczyć w kolażu dziwnego świata – toczącego kołem swoje historie, jakby nigdy się nie miał niczego nauczyć – niby światełko w tunelu swoją drogę i powołanie. Odnaleźć i powierzyć Stwórcy, by, nakłaniając do dobrego, zbawił od złego.

Wczytajmy się w słowne gry i kolaże, pójdźmy za światełkiem, poszukamy swoich pytań, klękniemy przed Nieogarnionym, który jako Jedyny jest w stanie uporządkować świat naszego życia i zaprowadzić do celu.

**Joanna Pisarska**

Wstęp w: Regina Kantarska-Koper. *Gry i kolaże*. Białystok 2024.

---

---

**Joanna Pisarska**

## KTÓREJ DROGA

– Z takiego północnego kraju i jej tu zimno? – moja włoska gospodyni na Via Saffi nie może się nadziwić, ale przynosi dodatkowy koc. Jest luty, w pomieszczeniu temperatura wynosi siedemnaście stopni, jestem przyzwyczajona do dwudziestu dwóch.

– Fa freddo – odpowiadam. Przyjechałam do Florencji uczyć się języka. Jak już jechać, to w najpiękniejsze miejsce.

– La Firenze è molto elegante – twierdzi signora Anna. Tłumaczy mi, jak dojdę pieszo do Duomo. Jest daleko, marszem około pięćdziesięciu minut, ale mam ograniczony budżet, będę musiała się przyzwycząić. Bo tam w centrum, trochę za Duomo, mieści się Istituto Italiano.

Wsiąkam w miasto, w język. Nawet śni mi się po włosku. Uczę się Florencji, jej światła, jej historii i codzienności. Do upadłego krążę po salach Uffizi, w Galleria dell'Accademia ukradkiem fotografuję oryginał „Dawida”, po drugiej stronie Arno odkrywam ukryte perły renesansu. Poznaje mieszkańców, ale też ludzi z różnych kontynentów, którzy uczą się razem ze mną. Na koniec signora Anna, która co rano przy śniadaniu starała się zabawić mnie rozmową, roni łezkę.

Podróże.

[...] są takie podróże, które nie kończą się po powrocie do domu – pisze w swojej książce pt.: „Tędy droga” Dariusz Fedor. Redaktor magazynu „Kontynenty”, wydawca, polonista, podróżnik.

I odbywa ciąg dalszy swoich wędrówek – tych dawnych, sięgając aż do wspomnień dzieciństwa, przez samotne pielgrzymowanie, po następne już z towarzyszami, aż do najbardziej aktualnych w towarzystwie rodziny, a nawet rocznego wnuka – w kolejnych rozdziałach książki, przeprowadzając nas przez ulice miast i przysiółków, winnice i pustynie, cieniem murów i skwarem rozległych przestrzeni.

Trochę tam byłam, ależ tak. Pojawiłam się w kilku miejscach. Na Piazza Navona w Rzymie, gdzie dawno temu w uliczce obok jadł swoje pierwsze w życiu włoskie lody, *copa olimpica*, które kosztowały wówczas ćwierć pensji nauczyciela, a ja swoje pierwsze *melanzane al forno*, pieczone bakłażany w kołderce z parmezanu. W San Gimignano, gdzie wiele lat później dziwił się, że toskańskie lody są teraz tak tanie, a ja nie usiadłam nawet na chwilę, ponieważ tylko chciałam przebiec to średniowieczne miasto, słynące ze swoich wież, w drodze do Sieny, w której tuż obok Piazza del Campo – jednego z najpiękniejszych placów miejskich świata, kształtem przypominającego muszlę, na którym dwa razy w roku odbywa się słynny wyścig konny *Il Palio*, płótno, gdyż wygraną jest obraz Matki Bożej na płótnie – odkryłam hotel *Tre Donzelle*, w którym mieszkał i pisał Zbigniew Herbert. Byłam w Porto, skąd pan Dariusz przed świtem wyruszał na swoje drugie *camino*, tym razem nie z Polski, a Portugalii, do Santiago de Compostela, a ja spędziłam trzy dni swojej samolotowej pielgrzymki do Fatimy.

Ale dalej to już inny kaliber, inny świat. Właściwie – co rozdział, to koniec świata.

*Kłęb splątanych gałązek, paprochów, śmieci wypada zza betonowego filara i w wirze żółtego pyłu skacze pięć metrów w górę – pięć metrów w dół, nie tykając betonu pod – nie tykając betonu nad. Taniec ekstazy, bezładny, bezgłośny. Wreszcie rozbija się o filar i już jako żółty tuman sunie ku nam, zbiera po drodze piach, śmieci, i rzuca w auto, i szarpie nas. Teraz już go nie tylko widzę, już go słyszę – bo to nie szum ulicy narastał, to huk tego wiatru! Wóz się kolebie nerwowo, jest duszno, mimo że klimatyzacja chodzi, że szyby zamknięte. Huk narasta, wreszcie grzmot! Piorun?! Burza?! Będzie deszcz? Tak, pierwsze wielkie krople klepią w maskę, pierwsze i ostatnie, bo już po wszystkim. Znowu jest jasno, zastygły ruch rusza, czas znowu płynie, świat normalnieje.*

Tylko czy aby na pewno normalnieje? Chociaż może to zależy od perspektywy. Spotkania z węzami na ulicy w moim świecie nie są na porządku dziennym, autorowi zdarzyło się to jednego dnia aż trzykrotnie.

Podróże. Jak je odbywał, kiedy, po co, skąd i dokąd, którądy?

Może po prostu? *Był listopad. Jechaliśmy tak od Dukli do Tokaju. Ale innym razem jest zdecydowanie bardziej tajemniczo: Wąskie uliczki prowadzą mnie nieuchronnie na plac katedralny. Zwalniam więc kroku przed południową światłością romańskiego portalu bazyliki świętego Trofima. I idę dalej, w stronę cienia. Droga wśród wysokich kamienic wije się, ale wiem, że doprowadzi mnie tam, gdzie chcę dojść: na brzeg Rodanu. Nawet z cofnięciem się w czasie: To było gdzieś pod Nuwara Eliya, może w Kadugannawie, w środkowej części Cejlonu. Tak, Cejlonu, nie Sri Lanki, bo czas na tej stacji zatrzymał się dawno i nikomu to nie przeszkadzało. Z dokładną znajomością terenu: Poznawalem Katalonię od tej właśnie strony i taką osobistą jej geografiją miałem już dobrze wyrysowaną. Gratallops, Falset, Poboleda, Rábano, Capçanes, Marça, Escaladei – to moja siatka współrzędnych, to moje punkty orientacyjne. Ze znużeniem: Snulem się ulicą Industria z tyłu hawańskiego El Capitolio, szukając cienia, a nie kolejnych kubańskich atrakcji. Zdobywając wygasłe wulkany o dziwnych kształtach: Byłem dopiero w połowie drogi do szczytu dawno wygasłego wulkanu, który Bóg wie jakie siły obrobiły w ogromny żółto-brązowy*

*kloc. Sterczał teraz na tej rozległej, zielonej wyżynie niczym kostka do gry rzucona prosto z nieba. Odpoczywając: Przesiedziałem noc na starożytnym dziedzińcu tego zamku, patrząc w rozgwieżdżone niebo nade mną i rozświetlone miasto pode mną. I tańcząc: Wieczorem tańczyliśmy na pustyni Thar. I jeszcze: Z plaży, na której Zorba szaleńczym tańcem opowiedział swoją radość, zabrałem kamyk.*

Ale podróże to nie tylko dotknięcie piękna, ale też brzydoty, biedy, cierpienia, krzywdy, niezrozumienia. Bólu tego świata: *Bosą stopą deptałem szczurze łajno parujące po deszczu na wyłożonej marmurem posadzce świątyni ascetki Karni Maty w Deśniok. Wtykałem nos do bieda-chatynek (trzy żerdki i splachetek folii nad głową) w slumsach w Bikanerze. Przeciskałem się przez tłum ciągnący do rzeki Jamuny w zaduchu ciasnych uliczek Mathury...*

To jazda na krawędzi: *Pożar musiał być niedawno – czuć było spaleniznę. Ziemię zakrywał czarny pył, z krzewów zostały czarne kikuty. Ale lewa strona była przez żywioł nieruszona – droga ustanowiła wyraźną granicę między winnicą żywą a winnicą martwą, między światem kolorowym a światem czarno-białym. Jechałem prosto między krajobrazem radosnym a krajobrazem posępnym, jak po wąskiej grani [...].*

W podróży człowiek widzi, czego by nie dostrzegł, słyszy, czego nigdy by nie usłyszał, spotyka, czego by nie spotkał: *Stałem na Rogu Niemiec i wpatrywałem się. Z lewej ciemne, spokojne wody Mozeli sunęły gładką taflą. Z prawej gliniaste w barwie wody Renu parły pośpiesznie, lekko falując. Nie mieszały się, lecz schodziły w dobrze widoczny, lekko rozchybotany ścieg. Przeżywa całym sobą: Sunąłem więc po posadzce synagogi w Koczin rozważnie, poznając rękodzieło XVIII-wiecznych chińskich mistrzów – stopami [...] Sunąłem więc rozważnie, wybierałem i wiązałem w pęczki źdźbła ryżu i poznawałem dzieło natury – stopami. A pracujący obok Hindusi, do których nieproszony się przyłączyłem, po prostu zrobili mi miejsce w swoim szeregu.*

Czy można powiedzieć, że rodzi się z tego więź? Ze spotkanymi ludźmi, którzy robią nam miejsce w swoim szeregu, którzy wędrują z nami na jakichś etapach naszego pielgrzymowania, których mijamy rozpędzonym metrem, których zapamiętujemy inaczej, niż naprawdę się to w tym spotkaniu zdarzyło?

Bez ludzi nie ma podróży. Autor za każdym razem przywołuje z pamięci, za każdym razem próbuje odmalować którąś ze spotkanych osób. Zaludniają tę książkę mieszkańcy krańców świata. Zaludniają książkę, ale ich istnienie dotkliwie wpisuje się w obszar naszej wrażliwości. Po takich spotkaniach człowiek nie jest już taki sam.

Podróże. Podróże, które zmieniają.

Jak je opisać, jak chwycić, wyłowić z nurtu myśli, wspomnień, z jakiejś ogromnej struktury powiązań, której się przecież nigdy nie zrozumie do końca, to, co jednak przecież pragniemy przekazać, skoro sami zostaliśmy przemienieni. Autor, nie wiem, na ile świadomie, na ile nieświadomie lub nie do końca świadomie, wyraża to językiem właściwym poezji. Obraz jest silny, ale niedopowiedziany, fraza toczy się i nawraca, zwalnia i dynamizuje, formułuje pytania i puenty, niektóre fragmenty to gotowe wiersze.

No cóż, może piszę to jako poetka, która wszędzie chciałaby widzieć mowę wiążaną i na każdym zakręcie spotykać podobnego sobie dziwoląga, a tak naprawdę książka jest zbudowana z garści wstępniaków, mających niegdyś na celu zachęcenie do przeczytania kolejnego numeru kwartalnika. Jednak wolę myśleć w kluczu: redaktor magazynu „Kontynenty”, wydawca, polonista, podróżnik, poeta.

Podróże. Zdarzyło mi się ich kilka.

*Noszę w sobie tych podróży spory bagaż. Przeglądam je uważnie, obraz po obrazie. Obraz świata. Mojego świata. Ty też masz taki obraz w sobie. Poszukaj.*

Szukam. Wracam. Kiedy chcę. Któredy chcę. Do miejsc, w których byłam, do Florencji. Wsiąkam w miasto, w język. Nawet śni mi się po włosku.

**Joanna Pisarska**

Dariusz Fedor. *Tędy droga*. Kontynenty, Zielonka 2022. Książka tylko w wersji pdf.

---

---

**Joanna Pisarska**

## BŁOGOSŁAWIENI CISI

„Wpatrzona w przestwór tej chwili...” Zofia Chałupkova z Gołackich, mama Teresy Tomsy, poznańskiej poetki, eseistki, animatorki kultury, związanej od wielu lat i zaprzyjaźnionej z redakcją polonijnego portalu „Recogito”, zmarła 18 listopada 2024 roku w wieku 96 lat. Przeżyła hekatombę zsyłki na Sybir, utraty w strasznych okolicznościach ojca, wieloletniej tułaczki. Przeszła potem długi i chyba nigdy niedokończony proces odzyskiwania siebie, budowania na nowo normalności. Ale też proces niezłomnej walki o rodzinę i kształt dnia codziennego, jego wymiarów w głąb, w trwaniu w tym, co najistotniejsze.

Była, jak wspomina Jej córka, „gościnną krewną, wiarygodnym świadkiem historii, darczyńcą spraw społecznych i kultury, bohaterką wielu esejów wspomnieniowych i wierszy, ofiarna, subtelna, wspierała nas wszystkich do końca dobrymi myślami i modlitwą”. Na koniec „żyła z nami kilkanaście lat na poznańskim osiedlu wśród kwiatów, książek i obrazów w mieszkaniu na parterze z zejściem do ogrodu”.

Żyła cicho i odeszła cicho.

Nie posiadała ziemi.

Odeszła wraz z całym pokoleniem Sybiraczek i Sybiraków pozbawionych nie tylko tego. Jak niemal sto lat wcześniej pisał św. Rafał Kalinowski w jednym z listów w połowie swojego zesłania: „Nieraz przeraża mię ten ogrom czasu (...) lat sześć już prędko się kończy od śmierci mojej cywilnej, sześć lat przebytych w istnym grobie” (List 123: do ks. Felicjana Antoniewicza).

Jednak, jak zauważa w tytule swojej książki Hoimar Gerhard Friedrich Ernst von Dittfurth: „Nie tylko z tego świata jesteśmy”, a św. Rafał odkrywa w najtrudniejszych chwilach życia: „Świat wszystkiego mnie może pozbawić, ale zostanie zawsze jedna kryjówka dla niego niedostępna: modlitwa, w niej się da streścić przeszłość, terażniejszość i przyszłość w postaci nadziei. – Boże, jakim skarbem obdarzasz tych, co w Tobie ufność swą całą pokładają!” (List 60: do rodziny).

I wiele listów, pamiętników, spisanych i niespisanych wspomnień z zesłania mówi jednym głosem: tym, co pozwoliło przetrwać, była wiara.

Dziś, kiedy patrzymy nie tylko na to, jak odchodzi ich świat, ale też jak niszczona jest przestrzeń wartości, którym byli wierni i zewsząd cicho i głośno wzmagają się wątpliwości, czy aby na pewno nauka Błogosławieństw jest nadal aktualna, zaczynamy dostrzegać, jak bardzo, patrząc po ludzku, wiara jest paradoksalna. Im bardziej zagrożona, tym bardziej trwała, im boleśniej atakowana, tym silniejsza. O ile, jak mówił Chrystus, jest zbudowana na skale.

„Nie próbujcie mnie uwolnić (...) Nie próbujcie mi dać nic więcej ponad to, aby krew moją wylano na ofiarę Bogu, dopóki ołtarz jest jeszcze gotowy” – pisał św. Ignacy Antiocheński w swoim Liście do Rzymian. Świat od początku wiarę tłamsi i prześladuje, buduje zasieki i kolosea, rzuca na żer. Ale wiara sprzeciwia się światu. Przenosi swój kaganek przez zasieki, w koloseach wchodzi w paszczę lwa.

„Pozwólcie mi stać się żerem dzikich zwierząt, przez które mogę posiąść Boga. Pszenicą jestem Bożą, a zmielony zwierzęcymi zębami, okażę się czystym chlebem Chrystusa. Raczej zachęcajcie zwierzęta, aby stały się dla mnie grobem i nie pozostawiły nic z ciała mego, bo nie chciałbym po śmierci przyczynić komuś kłopotu”. Święty jest jednym z całej rzeszy naszych braci i siostr w wierze sprzeciwiającej się myśleniu świata, wierze paradoksalnej i ciemnej, która przemieliliła ich życie jak pszenicę, by mogli obmyć się w krwi Baranka i stanąć w bieli.

„Chrześcijaństwo nie jest dziełem przekonywania, lecz dziełem Mocy, zwłaszcza gdy świat ma je w nienawiści” – mówi Ignacy, trzeci po św. Piotrze Apostole i św. Ewodiuszu biskup Antiochii.

„(...) niemoc osobista wobec zewnętrznych okoliczności, ubezwładniająca wolę, czyni ją poddaną Bogu” – mówi Rafał, inżynier, zesłaniec, wychowawca, karmelita bosy.

„Błogosławieni cisi” – mówi Jezus, Syn Boży.

Teresa Tomsia w wierszu *Z rzeczy małych* z 2016 roku, dedykowanym Mamie – Sybiraczce, zapisuje definicję chrześcijańskiej cichości i posiadania. Zostańmy z nią przez chwilę zadumy lub nawet dłużej.

*Gdy podchodzi do okna, ptaki na chwilę milkną,  
a jest ich wiele: sroki, wilgi, gołębie, całe to osiedlowe  
bractwo, któremu udało się przetrwać w pobliskim parku  
(zwanym tak na wyrost, wszak to zaledwie alejka i dwie ławki).*

*Dopiero wtedy, gdy z dłoni spadają okruchy, wszystkie  
zlatują z furkotem, dziobią, skrzeczą, podskakują.  
Nad jej siwą głową krąży motyl albo to płatki bratków  
porwał wiatr z balkonu sąsiadów, w każdym razie  
pozdrawia świat bezsłownie, podparta laską,  
wpatrzona w przestwór tej chwili.*

**Joanna Pisarska**

---

## NOTKI

Strona internetowa: Stowarzyszenie Pegaz. [Opublik. 4.11.2024]. *Wyniki X Konkursu na Limeryk o Paczkowie*. Z tekstu: *W dniu 4 listopada 2024 r. odbyło się posiedzenie jury X Konkursu na Limeryk o Paczkowie ogłoszonego przez Stowarzyszenie PEGAZ w Paczkowie i Bibliotekę Publiczną w Paczkowie. Jury w składzie: Halina Kruszewska – przewodniczący jury, Krzysztof Woliński – członek jury, Ryszard Czykiel – członek jury, stwierdza, że na konkurs napłynęło 451 limeryków, napisanych przez 111 autorów. Przyznano jedną pierwszą nagrodę, dwie drugie, dwie trzecie oraz siedem wyróżnień. Jedną z trzecich nagród otrzymał Apoloniusz Ciołkiewicz z Białegostoku (150 złotych) za limeryk: *HANDELEK // Pewien Jan z żoną Aliną / handel figami rozwinął. / To było w Paczkowie, / niech każdy się dowie: / Klient figi z żony mu zwinął...**

11.11.2024. Podsumowanie konkursu poetyckiego im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki – w ramach gminnych uroczystości obchodów 106 Rocznicy Odzyskania Niepodległości. Suchowola, w sali kina Kometa, Plac Kościuszki 13. W programie: ks. Jerzy Sikora – spotkanie autorskie (prowadziła Józefa Drozdowska); wręczenie nagród i wyróżnień; prezentacja nagrodzonych wierszy. Z NKL obecni: Anna Czartoszewska, Józefa Drozdowska, Krystyna Gudel, Urszula Krajewska-Szeligowska z mężem, Beata Kulaga, Joanna Pisarska, Joanna Skowrońska, Kazimierz Słomiński, Leonarda Szubzda z mężem, Regina Świtoń. • Wydawnictwo pokonkursowe: *VI Otwarty*

*Konkurs Poetycki im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki „Zło dobrem zwyciężaj”*. Wiersze laureatów. Gminny Ośrodek Kultury Sportu i Turystyki, Suchowola 2024. Stron 24 [bez numeracji]; 20,9 x 14,7 cm; ISBN 978-83-969544-2-8. # Str. [3-4]: *Protokół z dnia 7 października 2024 r. VI Otwartego Konkursu Poetyckiego im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki*. Komisja: Krystyna Gudel – przewodn., Józefa Drozdowska, Leonarda Szubzda. Rozpatrzono 26 zestawów wierszy, w tym jeden w kategorii dzieci i młodzieży. I miejsce – Regina Świtoń z Knyszyna, II – Bożenna Beata Parzuchowska z Przasnysza, III – Irena Słomińska z Białegostoku. Wyróżnienia finansowe: Daniela Polasik z Koleczkowa, Marek Kubicki z Łodzi. Wyróżnienia rzeczowe: Aneta Jasłowska z Wrzosowa, Joanna Pisarska z Białegostoku. Nagroda Przewodn. Zarządu Regionu Podlaskiego NSZZ „Solidarność”: Elżbieta Szprecht z Głogowa. Nagroda ks. proboszcza Parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Suchowoli: Urszula Krajewska-Szeligowska z Krajewa Białego. ## Str. [5-7]: Regina Świtoń. *Ogrójcowa miłość; Modlitwa moja; Wyznanie Matki*. # Str. [12-14]: Irena Słomińska. *Na śmierć Jerzego Popiełuszki – lament; Bukiet; W okienku życia*. # Str. [19]: Joanna Pisarska. *Modlitwa do Księdza Jerzego*. # Str. [21]: Urszula Krajewska-Szeligowska. *Z sercem (vilanella)*.

Strona internetowa: Jamiński Zespół Indeksacyjny. [Opublik. 13.11.2024]. *Wyróżnienie dla Józefy Drozdowskiej*. Wiersz: *Zawierszam zastożam pamięć*. [Wyróżnienie specjalne Polskiego Radia Białystok w Jubileuszowym X Konkursie Literackim „Srebro nie złoto”]. Zdjęcie poetki.

13.11.2024. Posiedzenie Jury XXVII Ogólnopolskiego Turnieju Satyry „O Złotą Szpilę”. Turniej literacki. Centrum Kulturalne w Przemyślu. # Jury: dr Urszula Lewartowicz, Alicja Kunert, Maria Nowak. # I nagroda ex aequo – Zbigniew Piłkuła z Majkowic, Andrzej Wróblewski z Warszawy. III nagroda – Jarosław Andrasiewicz z Łodzi. Wyróżnienia: Andrzej Lewko z Białegostoku, Elżbieta Grabosz z Warszawy, Apoloniusz Ciołkiewicz z Białegostoku.

15.11.2024. Klub „Jubilat”; Białystok, ul. Bartosza Głowackiego 14. Dzień Seniora pod hasłem „Poezja pisana, czytana i kawą malowana” (spotkanie ze sztuką w ramach Klimatycznej Kawiarenki Artystycznej). Wiersze: Katarzyna Grabowska, Ewa Danuta Stupkiewicz. Wystawa plastyczna (kawą malowane i akwarele): Katarzyna Grabowska.

Strona internetowa: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim. [Opublik. 15.11.2024]. *Gala IV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa*. W konkursie rozpatrzono 97 zestawów fraszek nadesłanych przez 76 autorów. Przyznano I, II i III nagrodę oraz nagrodę specjalną. Drugą nagrodę (700 złotych) otrzymał Andrzej Lewko z Białegostoku.

17.11.2024. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. # Kazimierz Słomiński – spotkanie autorskie, prezentacja tomiku aforyzmów *Duch czasu jakiś niespokojny* (Białystok 2024). # Turniej jednego wiersza: temat: *List do nieznanego*; jury: Grażyna Cylwik, Kazimierz Słomiński; rozpatrzono dziesięć wierszy; dyplom: Joanna Pisarska. # Wiersze ze składanki *Sen* (oprac. Joanna Pisarska). # Okrągłe rocznice literackie w roku 2024 (prowadziła Joanna Pisarska): krótkie wypowiedzi przygotowane przez osoby obecne na spotkaniu.

18.11.2024. Urszula Krajewska-Szeligowska – spotkanie autorskie. Relacja na stronie internetowej Gminnej Biblioteki Publicznej w Jabłonce Kościelnej: *Spotkanie autorskie z Panią Urszulą Krajewską-Szeligowską*. [Opublik. 21.11.2024]. Zdjęcia.

Strona internetowa: Poeci w sieci. [Białystok]. [Opublik. 18.11.2024]. *Znamy laureatów 33. Konkursu o Laur Stowarzyszenia Żywych Poetów*. Z tekstu: *Klub Integracji Twórczych „Stowarzyszenie Żywych Poetów” z Brzegu ogłosił wyniki 33. KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR czyli ZŁOTY SYFON STOWARZYSZENIA ŻYWYCH POETÓW BRZEG 2024*. Jury w składzie: Ewelina Cis, Małgorzata Osowiecka-Szczygieł, Kacper Plusa, Jacek Hołyński po zapoznaniu się z nadesłanymi zestawami, zdecydowało przyznać nagrody autorom i autorkom...

I nagroda i Złoty Syfon 2024 – Anna Piliszewska z Wieliczki. II nagroda – Bogdan Nowicki ze Świętochłowic. III nagroda – Joanna Pisarska z Białegostoku. Wyróżnienie – Patrycja Purgał z Legnicy.

Strona internetowa: Moniecki Ośrodek Kultury [Mońki]. [Opublik. 27.11.2024]. *Podsumowanie poezji i twórczości amatorskiej*. Z tekstu: 25 listopada w sali widowiskowej Monieckiego Ośrodka Kultury miało miejsce uroczyste podsumowanie dwóch ważnych wydarzeń kulturalnych: XXI edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Melanii Burzyńskiej „Poezja życiem pisana” oraz XXIII Powiatowego Przeglądu Amatorskiej Twórczości Plastycznej. (...) Konkurs poetycki objął zasięgiem całą Polskę i był skierowany do twórców nieprofesjonalnych. Komisja w składzie Krystyna Bezubik, Bożena Kupińska i Katarzyna Namojlik przyznała nagrody w dwóch kategoriach. W kategorii I nagrodę rzeczową otrzymała Zuzanna Długoborska, a w kategorii II pierwsze miejsce zajęła Anna Piliszewska, drugie Krystyna Gudel, a trzecie Anna Czartoszewska. Wyróżnienia otrzymali Andrzej Ziobrowski i Agnieszka Maj. Nagrodę Wójta Gminy Jaświły otrzymała Beata Kulaga. Zdjęcia. • Wydawnictwo pokonkursowe: XXI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”. Moniecki Ośrodek Kultury, Mońki 2024. Stron 24 [bez numeracji]; 29,6 x 10,4 cm. Wstęp: Krystyna Bezubik. Redakcja: Katarzyna Namojlik. # Str. [3]: Wyciąg z protokołu posiedzenia jury (...) dnia 09.11.2024 r. # Str. [7-8]: Beata Kulaga. *Rozmowy z Melanią; Zbuduję dom; Mała ojczyzna – wielki świat*. # Str. [11-12]: Krystyna Gudel. *Po żniwach; Wrześniowe zadumanie; Ona*. # Str. [13-15]: Anna Czartoszewska. *Za czereśnią, rozlaną w niebo słodkimi mgłami; Mała rzecz o bezdomnych poetach; Licho ma taki szeroki ogon*.

Strona internetowa: Sądecka Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu. [Bez daty]. *Konkurs poetycki „Wysokie obcasy”*. [Rozstrzygnięty w listopadzie 2024]. Z tekstu: *Konkurs poetycki „Wysokie obcasy” adresowany był do wszystkich poetów – zarówno uznanych jak i debiutujących. Zorganizowany został w ramach 5. edycji Sądeckich Dni Literatury, które skupiały się na twórczości kobiet i literaturze kobiecej, stąd wiersze konkursowe wpisywały się w ten zakres tematyczny*. Jury: Joanna Babiarsz-Szot – przewodn., Barbara Paluchowa, Janusz Szot. W kategorii „wiek powyżej 15 lat” przyznano I, II i III miejsce oraz trzy wyróżnienia. Jedno z wyróżnień uzyskała Joanna Pisarska za wiersz *Zamiast snu*. • W załączeniu wydawnictwo pokonkursowe w wersji elektronicznej (pdf): *Wysokie obcasy. Antologia pokonkursowa*. Stron 71. # Str. 44-45: Joanna Pisarska. *Pieśń o dziewczynie; Wolność jest kobietą; Zamiast snu*. Wyróżniony wiersz: *ZAMIĄST SNU // drzwi zamykają się i zostajesz sama / w łóżku pamiętającym / każdy nocny strach // na zewnątrz głosy / życie toczy się w innych / śmiało i okrutnie // boisz się pójść do łazienki / żeby nie zdradzić swojej obecności // w miejscu z którego / trzeba wyjść odliczając oddechy / po jednym na każdy / metr podłogi // która nie skrzypi / pod stopami aniołów*.

Składanka: *Ze snów*. NKL Białystok, listopad 2024. Opracowanie: Joanna Pisarska. Korekta: Regina Kantarska-Koper. Cztery kartki formatu A 4. [Wstęp:] *Wzorem takich twórców, jak: Samuel Taylor Coleridge, Franz Kafka, Lewis Carroll, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Bruno Schulz, Salvador Dalí, Marc Chagall, René Magritte oraz uczonych, jak: Niels Bohr, Albert Einstein, Otto Loewi – także poeci skupieni w Nauczycielskim Klubie Literackim w Białymstoku spróbowali opisać coś ze swoich marzeń sennych*. # Grażyna Cylwik. *Sny jak pocałunki; W ramionach Morfeusza; Sen*. # Andrzej Długoborski. *Dwie pantery; Sen eucharystyczny; Opiszę ci mój sen*. # Marek Dobrowolski. *\*\*\* moje sny są czarno-białe... # Józefa Drozdowska*. *Sen*. # Tadeusz Dudek. *Sen(s) nocy letniej; Sen srebrny złotej gwiazdki*. # Jolanta Maria Dzienis. *Senne miniatury; Wiersze nocą; Siostrzana kołysanka*. # Katarzyna Grabowska. *Sen; Rzucona na pożarcie*. # Regina Kantarska-Koper. *Senne majaki; \*\*\* nocą odwiedzają mnie znajomi umarli...; \*\*\* urodziłam się / śni mi się życie... # Urszula Krajewska-Szeligowska*. *Stycziowy sen starej sosny; Sen czarodziej*. # Joanna Pisarska. *Przyśnione; \*\*\* twoje dłonie...; \*\*\* ten sen powraca do mnie... # Daniela Polasik*. *Jak ślepi bez Księgi Świętej; Modlitwa o rosie*. # Joanna Skowrońska. *Sen*. # Irena Słomińska. *Lalki; Sep Prometeusza; Spadam*. # Erazm Stefanowski. *Sen o matce*. # Regina Świłoń. *Spotkanie*. # Marek Ustymowicz. *Zapamiętaj sny; Mój, tylko mój; Wejście do snu*.

3.12.2024. Joanna Pisarska – spotkanie autorskie „Poetycki początek Adwentu”. Prezentacja multimedialna „Ziemia Święta”. Klub „Zenit”; Białystok, ul. Mieszka I 16.

7.12.2024. Spotkanie warsztatowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Poświęcone głównie poezji. Prowadził Kazimierz Słomiński.

Strona internetowa: Szkoła Podstawowa nr 21 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Białymstoku. [Opublik. 10.12.2024]. *Spotkania klas I z poetką – Panią Krystyną Gudel. Tekst: Naszą szkołę odwiedziła Pani Krystyna Gudel, która jest autorką wierszy dla dorosłych oraz dla dzieci. Pani Krystyna przeprowadziła w klasach Ia, Ib, Ic i Id bardzo ciekawe zajęcia. Zaprezentowała swoją twórczość oraz opowiedziała o kolekcji ołówków z różnych stron świata, które wzbudziły duże zainteresowanie wśród uczniów. Były też zagadki przyrodnicze, matematyczne oraz ciekawostki o wielu gatunkach ptaków pokazywanych na zrobionych przez poetkę zdjęciach. Wiele radości dał uczniom wiersz przygotowany specjalnie na tę okazję. Bohaterami wiersza są uczniowie z każdej z klasy wymienieni z imienia. Chętni uczniowie mogli również zakupić tomik poetki pt. „Smutny ogryzek i inne wiersze” i dostać autograf. To były wspaniałe spotkania, które będziemy miło wspominać. Zdjęcia.*

Strona internetowa: Grajewo. Zawsze po drodze. [Urząd Miasta Grajewo]. [Opublik. 14.12.2024]. *Więści z SP 4 Grajewo. „Grajewscy twórcy dzieciom” – spotkanie z p. Apoloniuszem Bogumiłem Ciołkiewiczem w bibliotece SP 4. Z tekstu: W ramach realizowanego w klasach I – III szkolnego projektu edukacyjnego „Moje miasto Grajewo” w bibliotece szkolnej i miejskiej odbywają się spotkania czytelnicze pod hasłem: „Grajewscy twórcy dzieciom”. (...) Do nielicznego grona grajewskich twórców piszących dzieciom należy niewątpliwie urodzony w Grajewie p. Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz – emerytowany nauczyciel polonista, poeta, satyryk. Był uczniem Szkoły Podstawowej nr 1, a następnie Liceum Ogólnokształcącego w Grajewie. Po dobrze zdanej maturze studiował na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, gdzie uzyskał stopień magistra filologii polskiej i przez blisko 30 lat pracował jako nauczyciel języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 4. Z humorem opisuje świat i siebie w utworach skierowanych do dzieci i dorosłych. Jest twórcą m. in. aforyzmów, fraszek, limeryków i zadań szaradziarskich. Jest członkiem Partii Dobrego Humoru. I tutaj ciekawostka: składka w tej partii wynosi przynajmniej trzy uśmiechy dziennie. Za swoją twórczość pisarz otrzymał szereg nagród literackich. Jest autorem słów hymnu Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. W jednym z udzielonych wywiadów powiedział: „Pisanie dla dzieci to sama przyjemność. Dla dzieci, tak jak dla dorosłych pisze się... tylko jeszcze lepiej”. Jesteśmy dumni i dziękujemy, że p. Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz przyjął zaproszenie i w dniu 10 grudnia 2024 r. zagościł w bibliotece Szkoły Podstawowej nr 4 im. Henryka Sienkiewicza w Grajewie. Spotkania odbyły się z udziałem uczniów klasy II c i p. Justyny Dzięgielewskiej oraz uczniów klasy I c i p. Renaty Wierzchowskiej. (...) Na początku p. Apoloniusz Ciołkiewicz wspomniał uczniom o lubianej przez siebie twórczości Jana Brzechwy. Przeczytał nawet jeden z jego wierszy – „Katar”, z aktywnym udziałem dzieci powtarzających jak echo: „A psik!”, a następnie zaprezentował wiersz swojego autorstwa „Historia pewnego kataru” z puentą: katar leczony czy nieleczony trwa tydzień, czyli 7 dni! Opowiedział dzieciom o swoim warsztacie pisarskim i dorobku literackim skierowanym do najmłodszych. Czytał wybrane przez siebie wiersze i zagadki, m. in. ze zbiorków: „Pisane na wodzie”, „Dalej albo nigdzie”, „W domu i blisko”, „Cztery pory roku”, a jego pełne humoru teksty wywoływały co chwilę uśmiech na twarzach dzieci. Oczywiście osoby, które o tym się jeszcze nie przekonały, odsyłamy do ich lektury. Zobaczycie, jak autor w mistrzowski i zabawny sposób odkrywa przed dziećmi uroki otaczającego je świata i zwraca uwagę na jego różnorodność. Pisarz pokazał także dzieciom książeczkę pt. „Królik imieniem Loki” napisaną wspólnie z córką Katarzyną. W rekomendacji czytamy: „Ta książeczka zawiera garstkę wiadomości o pewnym króliku. Ale nie dziwcie się, bo ten królik to też miniaturka. I choć jest czarny, świat wokół siebie widzi w jasnych barwach”. (...) Pan A. B. Ciołkiewicz zaprezentował także swój komiks „Wędrówek kilka Czerwonego Wilka” z ilustracjami pana Jacka Skrzydleńskiego, napisany z okazji 480-lecia nadania praw miejskich Grajewu. Odpowiedział także na pytania zadane przez dzieci. Uczestnicy spotkania dowiedzieli się,*



jakie książki lubi czytać nasz autor, skąd czerpie inspiracje do pisania i wiele, wiele innych ciekawostek.

14.12.2024. Krystyna Gudel – spotkanie autorskie. Filia nr 2 Miejskiej Biblioteki Publicznej APK w Augustowie (ul. Komunalna 2). Prowadziła Józefa Drozdowska.

15.12.2024. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Spotkanie opłatkowe. ● Przygotowano składankę z wierszami o tematyce bożonarodzeniowej: *Ten czas*. Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku. Boże Narodzenie 2024. Opracowanie: Joanna Pisarska. Korekta: Regina Kantarska-Koper. Cztery kartki formatu A 4. # Halina Alfreda Auron. *Najbliżej*. # Michalina Banasiak. *Narodziny*. # Grażyna Cylwik. *W świetle świec; Przywołanie*. # Anna Czartoszewska. *Poświęteczna bajaderka*. # Andrzej Długoborski. *Pan Adwentu; Przyjście Słowa; Droga; Tamte święta; Słowa bez uczuć*. # Józefa Drozdowska. *Twoje przyjście*. # Tadeusz Dudek. *Sakrament chwili obecnej*. # Jolanta Maria Dzieńis. *Dziecię; Wigilijny aniołek*. # Katarzyna Grabowska. *Garnitur; Nie było miejsca dla ciebie*. # Krystyna Gudel. *Grudniowa nadzieja*. # Regina Kantarska-Koper. *O Bożym Narodzeniu; Boże Narodzenie starych*. # Czesław Kowalewski. *Choinka*. # Urszula Krajewska-Szeligowska. *Święte wieczory; To czar dawnej Gwiazdki; Nowonarodzonemu*. # Grzegorz Nazaruk. *Hej kolęda*. # Joanna Pisarska. *Pośrodku nocy; Za gwiazdą idziemy (villanella)*. # Daniela Polasik. *Jakoś mi tak dziwnie nieodświętnie, a święta tuż, tuż...; Przedłużone świadectwo życia*. # Joanna Skowrońska. *Oczekiwanie*. # Ewa Stupkiewicz. *Świąteczne spoiwo*. # Leonarda Szubzda. *Refleksje przed Bożym Narodzeniem*. # Regina Świtoń. *Betlejem*. # Marek Ustymowicz. *Świąteczny podarunek*.

20.12.2024. Na stronie internetowej Zarządu Okręgu Podlaskiego ZNP zamieszczony został 3/145/2024 numer „Najprościej” w wersji PDF.

Strona internetowa: Poeci w sieci. Na stronie między innymi

☑ PRZESYŁKI POETYCKIE. ● 3.11.2024. *Liście – wiersz Ireny Słomińskiej*. ● 4.11.2024. *dom – wiersz Danieli Polasik*. ● 5.11.2024. *Wiersz 28. (z każdym kolejnym przystankiem...)* Krystyny Gudel z tomiku „*Pęknięcia i szczeliny*”. ● 6.11.2024. *Moja poezja – abecedariusz Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej*. ● 7.11.2024. *O tańczącym jeżu – wiersz Józefy Drozdowskiej – z przekładem na język angielski Agnieszki Kleczkowskiej*. ● 8.11.2024. *Podarunki – wiersz Joanny Skowrońskiej*. ● 9.11.2024. *Do serca – wiersz Anny Czartoszewskiej*. ● 10.11.2024. *poranek wczesnej jesieni – wiersz Jolanty Marii Dzieńis z przekładem na język węgierski Tomasa Rudnickiego*. ● 12.11.2024. *Godnej się śmierci doczekać muszę – fraszki Kazimierza Słomińskiego*. [15 fraszek]. ● 15.11.2024. \*\*\* (*dziwne i niepojęte jest pragnienie życia...*) – wiersz Reginy Kantarskiej-Koper. ● 16.11.2024. *Księdzu Janowi Twardowskiemu – wiersz Joanny Pisarskiej*. ● 19.11.2024. *rejs – wiersz Beaty Kulagi*. ● 20.11.2024. *rejs – wiersz Grażyny Cylwik*. ● 21.11.2024. *Jesienne pranie – wiersz Jolanty Marii Dzieńis*. ● 23.11.2024. *Żurawie – wiersz Leonardy Szubzdy*. ● 26.11.2024. *O zachodzie – sonet Reginy Świtoń*. ● 27.11.2024. *Tak wiele – wiersz Ireny Słomińskiej*. ● 28.11.2024. *Prawda li Mamo – wiersz Danieli Polasik*. ● 29.11.2024. *Ona – wiersz Krystyny Gudel*. ● 1.12.2024. *pora końcówek – wiersz Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej*. ● 2.12.2024. *Pajęczyna – wiersz Józefy Drozdowskiej*. ● 4.12.2024. *Świt – wiersz Joanny Skowrońskiej*. ● 5.12.2024. *Za czereśnią, rozlaną w niebo – wiersz Anny Czartoszewskiej*. ● 7.12.2024. *Bogdan Dmowski czyta wiersze Jolanty Marii Dzieńis – To ta dziewczyna*. [YouTube; 1:28 min.]. ● 8.12.2024. *Światowid dzisiaj byłby biedny – fraszki Kazimierza Słomińskiego*. [15 fraszek]. ● 10.12.2024. \*\*\* (*jakie proste życie...*) – wiersz Reginy Kantarskiej-Koper. ● 11.12.2024. *Wołanie – wiersz Joanny Pisarskiej*. ● 14.12.2024. *toń – wiersz Beaty Kulagi*. ● 15.12.2024. *toń – wiersz Grażyny Cylwik*. ● 18.12.2024. *Jesienne motyle – wiersz Jolanty Marii Dzieńis*. ● 21.12.2024. *W Puszczy Knyszyńskiej – wiersz Leonardy Szubzdy*. ● 22.12.2024. \*\*\* (*jeszcze szczyty drzew...*) – wiersz Reginy Świtoń. ● 23.12.2024. *Podarunek – wiersz Ireny Słomińskiej*. ● 27.12.2024. *Nie dotykając dna – wiersz Danieli Polasik*. ● 28.12.2024. *Wrześniowe zadumanie – wiersz Krystyny Gudel*. ● 30.12.2024. *Góralski grudzień – wiersz Urszuli*

Krajewskiej-Szeligowskiej. • 31.12.2024. \*\*\* (Zamknęłam okno...) – wiersz Józefy Drozdowskiej – z przekładem na język angielski Agnieszki Kleczkowskiej.

■ SKŁADANKI POETYCKIE. Zestawy wznowione wcześniej publikowane były na portalu „Podlaski Senior”. W wersji obecnej mogły być uzupełniane. • 1.11.2024. *Pierwszolistopadowe impresje Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 1.11.2021, 1.11.2022, 1.11.2023]. M. in. wiersze: Anastazja Michalina Banasiak. *Jesień; W blasku zniczy*. A. Czartoszewska. *Ludzie – znicze, ludzie – liście*. J. Drozdowska. *Do Świętej Barbary – patronki dobrej śmierci*. J. M. Dzienis. *Listopadowe Anioły*. Janina Jakoniuk. *Bet Kwarot*. R. Kantarska-Koper. *Wszystkich Świętych; Zaduszki*. U. Krajewska-Szeligowska. *Tobie, św. Urszulo; Święty Maksymilian Maria Kolbe – Rycerz Niepokalanej*. J. Pisarska. *Niezauważeni; Moi święci*. D. Polasik. *Boże zapiecki; Ożywiona chusta*. R. Świtoń. *Matka Teresa z Kalkuty*. • 2.11.2024. *Obecni nieobecni – zaduszkowe wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 2.11.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Anonimowa mogiła; Dusze czyścicowe; Kochanej mamie*. Andrzej Długoborski. *Zaduszki*. J. Drozdowska. *O śmierci*. Tadeusz Dudek. *Zaduszki*. J. M. Dzienis. *Jutro cisza*. J. Jakoniuk. \*\*\* *Ty kochałeś te zielone szlaki...; Jeszcze wczoraj...* R. Kantarska-Koper. *Wszystkich Świętych; Zaduszki; Listopadowe scherzo*. U. Krajewska-Szeligowska. *Przyszli (tautogram); Listopadowa jasność (sonet); Listopadowe zadumania (akrostych)*. J. Pisarska. *Dzień zaduszny; Znak poranka*. D. Polasik. *Tak długo milczysz; Jak Ci tam Babciu?* R. Świtoń. *Zaduszki; W oratorium ciszy*. • 11.11.2024. *Podlascy Poeci – Niepodległej*. [Wznowiony zestaw z 11.11.2021, 11.11.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Kilka wersów na 11-go listopada; Nie mów mi, że nieważna jest Polska*. J. Drozdowska. *Ochotnik; Ujrzałem orła*. J. M. Dzienis. *Na 11 listopada; A ta moja ziemia...* K. Gudel. *Ile jeszcze pamięci; Tu miejsce moje*. J. Jakoniuk. *Moja Ojczyzna*. U. Krajewska-Szeligowska. *Sto lat Polski Niepodległej; Grób Nieznanego Żołnierza; Ułani, ulani – polska kawaleria; Polska infanteria – szara piechota*. R. Kantarska-Koper. *Aleksandryn na stulecie niepodległości Polski*. Barbara Lachowicz. *Wolność*. J. Pisarska. *Z cyklu: W cieniu Chopina. Fantazja f-moll; Rozmowa z ziarnem*. L. Szubzda. *Podlasie*. • 14.11.2024. *Senior, czy to łatwo powiedzieć? – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 14.11.2022, 14.11.2023]. M. in. wiersze: J. Drozdowska. *Jestem starszą panią*. J. M. Dzienis. *Srebro nie złoto*. R. Kantarska-Koper. \*\*\* *Stało się...* U. Krajewska-Szeligowska. *Strapienie szczęścia*. J. Pisarska. *Nie spisujcie starych ludzi na straty; Kto by pomyślał*. I. Słomińska. \*\*\* *gdy zrodziło się nowe...; \*\*\* popatrz / tak tam się srebrzy w słońcu...* • 25.11.2024. *Późna jesień w wierszach Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 25.11.2022, 25.11.2023]. M. in. wiersze: A. M. Banasiak. *Kocham jesień; Pani jesień*. G. Cylwik. *Jesień; Jesienne wspomnienia*. A. Czartoszewska. *Nim mróz napisze spokój*. J. Drozdowska. *Stogi na łąkach; Idąc na przystanek*. J. M. Dzienis. *Na rozdrożu czasu; Deszczowy walc*. R. Kantarska-Koper. *Listopad; Jesienne tęsknoty*. U. Krajewska-Szeligowska. *Późnojesienne (sonet-akrostych); Przymrozek (sonet-tautogram)*. Anna Kropiewnicka. *W zgodzie z naturą*. J. Pisarska. *Jesień; Czytając Georga Trakla; Granatowy listopad*. J. Skowrońska. *Listopad; Jesień*. I. Słomińska. *Idea – pocałunek*. R. Świtoń. *Sonet późnojesienny*. • 29.11.2024. *Andrzejkowe nastroje w wierszach Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 29.11.2021, 29.11.2022, 29.11.2023]. M. in. wiersze: J. M. Dzienis. *Wieczór andrzejkowy*. A. Długoborski. *Święty Andrzej*. J. Jakoniuk. *Święty Andrzej*. R. Kantarska-Koper. *Andrzej*. U. Krajewska-Szeligowska. *Andrzejki – to już dzisiaj?* J. Pisarska. *Święty Andrzej nad Jordanem*. • 3.12.2024. *W adwentowym kręgu – wiersze Podlaskich Poetów*. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Adventus; \*\*\* jeszcze chwilę bądź dzieckiem...* J. Drozdowska. *Adwentowe refleksje; Roraty*. K. Gudel. *Czas adwentu*. R. Kantarska-Koper. \*\*\* *w adwencie...* U. Krajewska-Szeligowska. *Adwent i ligawka; Adwentowe oczekiwanie*. J. Pisarska. *Psalm Adwentu; Dotyk Adwentu*. L. Szubzda. *Adwent; \*\*\* ten obraz dostałaś od Matki...* R. Świtoń. \*\*\* *przez listopad – bramę zadumy nad życiem...* • 6.12.2024. *Mikołajki w wierszach Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 6.12.2022, 6.12.2023]. M. in. wiersze: Halina Alfreda Auron. \*\*\* *Osiadł śnieg...* Apoloniusz Ciołkiewicz. *Mikołajowy song*. J. Drozdowska. *Do świętego Mikołaja z Miry*. J. M. Dzienis. *Mikołajkowe życzenia*. U. Krajewska-Szeligowska. *Mikołajki – szóstego grudnia; Nietrafiony Mikołaj*. J. Pisarska. *Święty Mikołaju*. Marek Ustymowicz. *Wywiad ze Świętym Mikołajem; Święty Mikołaj*. • 17.12.2024. *Rozmowy w cztery oczy – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 17.12.2022, 17.12.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Niedostępna całodobowo*. J. Drozdowska. *Rozmowa*. J. M. Dzienis.

*Mroczne rozmowy; Porozmawiaj ze mną. Katarzyna Grabowska. Migawka; Nie odpuszczę.* R. Kantarska-Koper. *Nierozmowa.* U. Krajewska-Szeligowska. *Twarzą w twarz (pantum).* J. Pisarska. *Rozmowa; Na pływalni.* J. Skowrońska. *Twarzą w twarz.* I. Słomińska. *Dlaczego; Spotkanie.* • 24.12.2024. *Wigilijne rozważania – wiersze Podlaskich Poetów.* M. in. wiersze: A. Czartoszevska. *wystarczy się przelamać; Niech mówi Bóg.* J. Drozdowska. *Wigilijna refleksja; Ze świątecznej pocztówki.* J. M. Dzienis. *Pieśń wigilijna; Wigilijne rozważania.* K. Gudel. *Wigilia na wygnaniu; W ten niezwykły wieczór.* U. Krajewska-Szeligowska. *Opowieść o opłatku (sonet-tautogram); Klasztorne kołеды (tautogram).* J. Pisarska. *Bądź pozdrowiony; Zaproszenie.* D. Polasik. *Na moment przed wigilią; Złoty przepis.* I. Słomińska. *\*\*\* tak niedaleko od nierzeczywistości...* L. Szubzda. *Zaskoczenie; Boże Narodzenie '97.* • 25.12.2024. *Hej kołęda, kołęda – wiersze Podlaskich Poetów.* [Wznowiony zestaw z 24.12.2023]. M. in. wiersze: H. A. Auron. *...ku niebu.* A. Czartoszevska. *W noc wśniegowziętą.* J. Drozdowska. *Kołęda o Jezusku z wenflonem w rączce; Kołęda.* J. M. Dzienis. *W nastroju kołęd; Cicha zaduma.* K. Gudel. *W grudniową noc.* R. Kantarska-Koper. *Kołęda.* U. Krajewska-Szeligowska. *Niebiański SMS.* A. Kropiewnicka. *Wigilia.* J. Pisarska. *Radość; Nad Betlejem.* D. Polasik. *Przepis na życie; Ulica Mestwina.* I. Słomińska. *Narodziny.* • 26.12.2024. *Cieszymy się świętami – wiersze Podlaskich Poetów.* M. in. wiersze: H. A. Auron. *Biznes?; Gwiazda.* A. Czartoszevska. *Gdy za oknem mrok i zima.* J. Drozdowska. *Nim Gwiazda Betlejemska...* J. M. Dzienis. *W Wigilię.* J. Jakoniuk. *Cieszymy się świętami.* R. Kantarska-Koper. *\*\*\* Radość! radość na świecie!...; Grudzień.* U. Krajewska-Szeligowska. *Wspomnienie wiejskiej wigilii (tautogram).* J. Pisarska. *W stronę Betlejem; \*\*\* wiaro cierpliwa w Betlejem...* D. Polasik. *Westchnienie.* R. Świtoń. *W tę świętą noc.*

■ **ŁĄCZNIK I SLAM POETYCKI.** • 5.11.2024. *Znamy laureatów 53. edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka.* [Jedną z trzech trzecich nagród w dziedzinie poezji otrzymała Krystyna Gudel]. • 18.11.2024. *Znamy laureatów 33. Konkursu o Laur Stowarzyszenia Żywych Poetów.* [Konkurs w Brzegu; trzecia nagroda dla Joanny Pisarskiej].

■ **OPINIE I KOMENTARZE.** • 9.11.2024. *Regina Świtoń o tomiku Jerzego Sikory „Chińska porcelana”.* • 13.11.2024. *Joanna Pisarska o tomiku wierszy Leonardy Szubzdy – „Galaktyka czterech ścian”.* • 14.11.2024. *Wzruszyłem się... – komentarz Tadeusza Dudka do składanki poetyckiej na Dzień Niepodległości.* • 15.11.2024. *Krystyna Gudel o tomiku wierszy Tadeusza Karabowicza „Ślady”.* • 20.11.2024. *Krystyna Gudel o tomiku wierszy Leonardy Szubzdy – „Galaktyka czterech ścian”.*

Strona internetowa: **Podlaski Senior** [podlaskisenior.pl]. Publikacje za okres listopad – grudzień 2024 w układzie chronologicznym (w internecie nie są datowane). Na stronie między innymi:

■ **TWÓRCZOŚĆ.** • [1.11.2024]. *Listopadowe latarenki – wiersz Jolanty Marii Dzienis.* • [2.11.2024]. *Zaduszne chwile – wiersze Marka Ustymowicza.* Wiersze: *Mój dół; \*\*\* nie przychodźcie...; Jeszcze chwilę; Fragment spokojnej terażniejszości.* • [4.11.2024]. *Autoportret jesienny – wiersz Anny Kropiewnickiej.* • [21.11.2024]. *Skrzydła życia – wiersz Anny Kropiewnickiej.* • [24.12.2024]. *Naczynia po Świętach – wiersze Barbary Lachowicz.* [Cykl 11 wierszy]. • [31.12.2024]. *Haiku na Nowy Rok.* M. in. teksty: # A. Czartoszevska: *wyprzedaż słówek / wietrzenie aforyzmów / styczniowa pustka* # T. Dudek: *Niechaj Nowy Rok / powie z uśmiechem i bez / przekory: bonjour* # J. M. Dzienis: *w szaleństwie nieba / strzały korków szampana / nowa nadzieja* # R. Kantarska-Koper: *Barwne fontanny / światel petard na niebie – / Nowy Rok biegnie!* # U. Krajewska-Szeligowska: *Wczoraj huk petard / Żegnaj stary rok – dzisiaj / Cisza pod niebem* # A. Kropiewnicka: *Wybuchy petard / Pies schował się pod stołem / Idzie nowy rok* # J. Pisarska: *przebiega przez noc / dźwigając zwój tajemnic / wciąż na nowo* # M. Ustymowicz: *strzeliły korki / o północy więc nowy / rok trwa od nocy.*

■ **PODKASTY, ROZMAITOŚCI.** • [16.11.2024]. *Poetka umorusana szczęściem – wywiad z Jolantą Marią Dzienis.* Rozmawiała Maria Heller. [YouTube; 14:32 min.].

■ **ROZMAITOŚCI, TWÓRCZOŚĆ.** • [21.12.2024]. *Kiedy śledeź stał się trucizną.* Tekst: J. M. Dzienis.

■ **KULTURA, TWÓRCZOŚĆ.** • [10.12.2024]. *Błogostawieni cisi – esej Joanny Pisarskiej.* [O Zofii Chałupkowej z Głowackich, mamie poetki Teresy Toms].

- ROZMAITOŚCI. • [30.11.2024]. *Błądzenie we mgle*. Tekst i wiersz: J. M. Dzienis.
- [31.12.2024]. *Życzenia noworoczne*. Dołączony wiersz: J. M. Dzienis. *W chwili niezwykłej*.

Halina Wiszowata. *Niebieski bukiet*. Wydawcy: Stowarzyszenie Podlascy Seniorzy, Stowarzyszenie Szukamy Polski; Białystok 2024. Stron 99; 20,9 x 14,7 cm; ISBN 978-83-965815-0-1. Redakcja: Jolanta Maria Dzienis. *Wydano z inicjatywy i środków Teresy Wytwer, siostry autorki*. Tomik wierszy (60 wierszy) Haliny Wiszowatej (1951-2023). # Str. 3-5: Jolanta Maria Dzienis. *Przebudzenie*. [Wstęp]. Z tekstu: *Halina Wiszowata, Halszka, jak chciała, żeby się do niej zwracać, zaczęła tworzyć wiersze niejako przez przypadek. Kiedy dołączyła do Redakcji Podlaskiego Seniora, z racji doświadczeń w zawodzie pielęgniarki, pisała o zdrowym trybie życia, zdrowym odżywianiu. Chętnie brała udział w kreatywnych zabawach słownych, układając zgrabne, krótkie teksty. Aż któregoś razu, z luźno rzuconych wyrazów, napisała wiersz. I tak zaczęła się jej przygoda z poezją. (...) W tym tomiku zebrane są wszystkie wiersze Halszki. Publikowane były wcześniej na łamach portalu podlaskisenior.pl, a teraz trafią do rąk czytelników*.

*Peron literacki. Antologia dla Jany*. Wydawnictwo KryWaj, Koszalin 2024. Stron 394; 21,1 x 14,9 cm; ISBN 978-83-67877-46-6. Opracowanie, skład, projekt okładki: Krystyna Wajda. # Str. 191-194: Anna Kropiewnicka. *Wspomnienia; Twoja twarz; Spokój; Wszystko trzeba przeżyć; Po prostu być; Słowa; Taniec życia; Łzy; Szczęście; Przyjaźń*. [Wiersze].

*Peron literacki. Antologia dla Lucji*. Wydawnictwo KryWaj, Koszalin 2024. Stron 244; 21,1 x 14,9 cm; ISBN 978-83-67877-56-5. Opracowanie, skład, projekt okładki: Krystyna Wajda. # Str. 42-43: Anna Kropiewnicka. *Żaba rzekotka; Jednorożec; Piłka*. [Wiersze]. # Str. 209: [Notka o autorce:] *Anna Kropiewnicka – urodzona w Białymstoku, autorka kilkunastu książeczek z wierszami dla dzieci. Współautorka dwóch antologii charytatywnych „Bajki na dobranoc” i „Peron literacki dla Jany”. Jej wiersze obecnie prezentowane są w cyklicznej audycji „Wierszorymki pani Ani” na antenie Radia Dziecięco-Młodzieżowego Bayer Fm w Elku oraz na portalu Podlaski Senior. Członkini NKL w Białymstoku*.

*Poetariat dzieciom. Wiersze, bajki, opowiadania do czytania i kolorowania*. Zilustrowała Magdalena Kapuścińska. Fundacja Poetariat, Wieluń 2024. Stron 232; 21 x 15 cm; ISBN 978-83-972359-6-0. # Str. 76-80: Anna Kropiewnicka. *Poranek w Zoo; Święto ptaków; Listonosz Gołąbek*. [Wiersze dla dzieci].

*Czerwona Róża dla Niej. [XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Ireny Golec „Czerwona Róża dla Niej”]*. Gminny Ośrodek Kultury w Kąkolewnicy, Wydawnictwo Lubelskie AZ; Kąkolewnica 2024. Stron 109; 20,9 x 14,5 cm; ISBN 978-83-971710-7-7. # Str. 5-14: *Protokół Jury...* [z 12.11.2024]. Jury: Zofia Goławska, Ewa Hadrian, Elżbieta Kancik. W kategorii IV (dorośli) w dziedzinie poezji przyznano dwa pierwsze miejsca, dwa drugie, dwa trzecie oraz cztery wyróżnienia. Jedno z trzecich miejsc uzyskała Krystyna Gudel z Suchowoli za zestaw wierszy. # Str. 80: Krystyna Gudel. *Pustoszeją pokoje*. Tekst wiersza: *ubywa kartonów / ze wszystkim / płowieją kartki / w kalendarzu // tylko na ścianie / ma się dobrze / fragment beżowej farby / gdzie dotychczas / wisiało monidło // ulatnia się zapach / dymu z papierosa / wiatr popiół rozpylił / zacierają się ślady // coraz mniej ich / coraz więcej cieni // pozostał okruch / w psiej misce / i kropła obecności // na pustym / talerzu*.

*Tu jest naprawdę wszystko, co kocham. Almanach pokonkursowy z trzech edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Kwiat Dziewięcisiła” Skomielna Czarna 2022-2024 oraz wspomnienia z okazji 15-lecia konkursu*. Wydawnictwo: Drukarnia Styl Anna Dura, Skomielna – Kraków 2024. Stron 98; 20,9 x 14,6 cm; ISBN 978-83-972163-5-8. Redakcja: Lesław J. Urbanek. # Str. 70: Joanna Pisarska. *W górach*. [Z wierszy wybranych do publikacji; XV edycja – 2024].

*Węgrowski Jarmark Literacki 2024*. Miejska Biblioteka Publiczna im. Augusta Cieszkowskiego w Węgrowie, Węgrów 2024. Stron 44; 20,6 x 14 cm. Wydawnictwo pokonkursowe. Z tekstu na

ostatniej stronie okładki: *Publikacja prezentuje wszystkie teksty, które wpłynęły na Węgrowski Jarmark Literacki w 2024 r. Zadaniem uczestników było napisanie poetyckiego utworu literackiego dyktowanego sercem i rozumem o charakterze modlitwy.* W wydawnictwie brak werdyktu jury (konkurs w kategoriach dorosłych, młodzieży i dzieci). Z utworów wyróżnionych drukiem: Regina Kantarska-Koper. *Modlitwa (strofa saficka)*. (Str. 28); Urszula Krajewska-Szeligowska. *Obdarz nas pokojem*. (Str. 33), Joanna Pisarska. *Modlitwa za Ojczyznę*. (Str. 38-39).

*Święto mojej ulicy. Wiersze o augustowskich ulicach.* Jamiński Zespół Indeksacyjny, Twardy Róg 2024. Stron [4] + 47; 19,4 x 12,4 cm; ISBN 978-83-973822-2-0. Opracowanie i redakcja: Józefa Drozdowska, Leonarda Szubzda. Akwarele na okładce i w tomiku: Zdzisław Rutkowski. *Wiersze zostały przedstawione podczas XVII Niedzielných Pogwarek Poetyckich przy Herbatce pt. „Święto mojej ulicy” prowadzonych przez Józefę Drozdowską i Annę Oleksy w Filii nr 2 Miejskiej Biblioteki Publicznej APK w Augustowie 23 września 2018 roku, zaś fraszki na wcześniejszym, XIII spotkaniu z tego cyklu zatytułowanym „Z przymrużeniem oka”, w dniu 10 września 2017 roku.* # Str. [3]: Kazimierz Słomiński. [Fraszki o Augustowie; 6 fraszek pod nagłówkiem: *Motto dla Augustowa*]. # Str. 5-7: Irena Batura. *Z ulicy Wilczej odchodzi się na zawsze*. # Str. 10-13: Józefa Drozdowska. *Dzielenie się przestrzenią; O kotce Tolci z ulicy Kasztanowej; Zapis chwili*. # Str. 14: Krystyna Gudel. *Kot musi wiedzieć*. # Str. 17: Czesław Kowalewski. *Wspomnienie*. # Str. 19-21: Janina Osewska. *Chłopcy z IVb; Gaj; Zabawa w pitoki i inne gry podwórkowe*. # Str. 28: Leonarda Szubzda. *Filozofia ulicy Kasztanowej*. ## Str. 41-42: *Noty o autorach*. ## Pozostali autorzy: Genowefa Balukiewicz, Beata Bernakowska, Tadeusz Dawidejt, Hanna Karp, Bożena Klimaszewska, Celina Mieńkowska, Jan Saczko, Erazm Stefanowski, Krystyna Walicka, Piotr Waldemar Wiśniewski, Krystyna Zawadzka.

*W kropkach słów. Antologia ekfraz.* Wydawca: Kazimierz Linda, Warszawa 2024. Patronat medialny: Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział Warszawski II. Stron 100; 17,9 x 13 cm; ISBN 978-83-972812-3-3. Redaktor wydania: Wanda „Dusia” Stańczak. # Str. 3: Wanda Dusia Stańczak. *Obiektywem i piórem...* [Wstęp]. Z tekstu: *Patrzę, ty patrzysz, ona patrzy, on patrzy. Na to samo. A widzimy inaczej. Czujemy inaczej. Reagujemy inaczej. I to jest najważniejsze wyzwanie sztuki. Z tym wyzwaniem, któremu w tym przypadku na imię NATURA, zmierzyło się 38 autorów. A obiektami ich literackich potyczek stały się fotografie, obrazujące przechodzenie przyrody w inny wymiar za sprawą zmian pór roku. Zatrzymała je w kadrze Wanda Dusia Stańczak, ukazując inne formy przemijania, tęsknoty, a zarazem budząc w odbiorcy zainteresowanie czymś, na co dotąd nie zwracał szczególnej uwagi – suchym liściem, zwiędniętym kwiatem, samotnym drzewem czy krzewem poranionym. Zainspirowały kolegów po piórze do szczególnej wypowiedzi piórem, zwanej ekfrazą. I tak powstała międzynarodowa antologia „W kropkach słów” – kolorowe zdjęcia, kilkaset utworów, 100 stron.* # Anna Czartoszewska (str. 20, 28, 59, 69, 88). # Beata Kulaga (str. 12, 20, 34, 44, 50, 56, 62, 70, 75, 89, 98).

*Granica. XXII międzynarodowa antologia.* Wydawca: Kazimierz Linda, Warszawa 2024. Patronat: Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział Warszawski II. Stron 290; 20,9 x 14,7 cm; ISBN 978-83-967728-7-9. Redaktor wydania: Wanda „Dusia” Stańczak. Projekt okładki i ilustracje: Renata Cygan i pixabay. Utwory (głównie wiersze) 91 autorów. # Str. 36-37: Grażyna Cylwik. *Granica; Spostrzeżenie; On i Ona*. [Wiersze; zdjęcie autorki]. # Str. 38-39: Anna Czartoszewska. *Barwni/Bezbarwni; Nie mów Bogu „nie”; Koraliki; Bez granic kochać nie umiem*. [Wiersze; zdjęcie autorki]. # Str. 238-240: Urszula Krajewska-Szeligowska. *Ta bezgraniczna...; Ograniczenia; Zielona granica*. [Wiersze; zdjęcie autorki].

*Więcej wspomnień wyciągniętych spod obrusu. Antologia.* Flos Carmeli, Poznań 2024. 59 tom z serii „Dialogi Poetyckie”. Stron 142; 17 x 11,4 cm; ISBN 978-83-66504-28-8. [Redakcja], okładka, zdjęcia i oprawa graficzna: Małgorzata Mikos. *Niniejsza Antologia ukazała się pod patronatem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Wielkopolski. Zbiór wierszy o tematyce bożonarodzeniowej [59 autorów].* # Str. 5-6: Małgorzata Mikos. [Wstęp]. # Str. 17-18: Anna Czartoszewska. *W noc wśniegwziętą*. # Str. 23-25: Andrzej Długoborski. *Słowa bez uczuć; Tamte*

święta. # Str. 32-33: Józefa Drozdowska. *Strojenie choinki*. # Str. 36-38: Jolanta Maria Dzienis. *Znowu święta; Jeśli...; Przy świątecznych stołach*. # Str. 40-42: Katarzyna Grabowska. *Dzieci Boga; Teatrzyk bożonarodzeniowy; Narodziny i śmierć*. # Str. 55-56: Regina Kantarska-Koper. *Boże Narodzenie*. # Str. 69-70: Urszula Krajewska-Szeligowska. *DDD do Dzieciątka*. # Str. 102: Joanna Pisarska. *Rozpoznać*. # Str. 108-110: Irena Słomińska. *Narodziny; \*\*\* Stajenka. Jej klimat – zmieszane oddechy...; Tamte święta*.

Zofia Grabowska-Andrijew. *Widnokreśli. Wyjdź z bańki*. Wydawca: Biblioteka ReWirów, Poznań 2024. Stron 213; 22,9 x 16 cm; ISBN 978-83-965016-9-1. Redakcja i wykonanie okładki: Jerzy Benjamin Zimny. Autorka gwaszu zainspirowanego wierszem Bolesława Leśmiana „Migoń i Jaworzon”: Urszula Olczyńska. # Str. 5-9: *Wstęp*. Z tekstu: *Publikacja zawiera eseje, szkice i recenzje książek stanowiących propozycje do czytania dla dorosłych, dzieci i młodzieży o zróżnicowanym stopniu trudności. Od dzieł noblistów i autorów posiadających prestiżowe nagrody do lektur stanowiących dobrą rozrywkę. Dotyczą one różnych dziedzin wiedzy, nie tylko poezji i beletrystyki, także wszystkich potrzebnych współczesnemu człowiekowi do rozumienia siebie, innych, przyrody, świata*. # Autorzy recenzowanych książek: Maria Ewa Aulich, Zygmunt Bauman, Greg Baxter, Ewa Bułgajewska-Grygiel, Jacek Dehnel, Kiran Desai, Per Olov Enquist, Annie Ernaux, Jerzy Fryckowski, Elżbieta Gałęzewska-Krasińska, Mateusz Górniak, Emil Hakl, Bohumil Hrabal, Bogusław Janiszewski, Jerzy Jarniewicz, Joanna Kuciel-Frydryszak, Anna Landzwójczak, Mikołaj Łoziński, Tomasz Mann, Tadeusz Matraszek, Maciej Henryk Modzelewski, Michał Ogórek, Stefan Pastuszewski, Małgorzata Dorota Pieńkowska, Waldemar Paweł Pieńkowski, Maria Magdalena Poczaj i Andrzej Szał, Jacek Podsiadło, Paweł Potoroczyn, Eustachy Rylski, Alina Rzepecka, Tadeusz Siejak, Kazimierz Słomiński, Wojciech Smarzewski, Zadie Smith, Mariusz Szczygieł, Iwona Świerkula, Marcin Świetlicki, Issa Watanabe, Piotr Żarczyński, Kazimierz Żarski. # Str. 198-202: *Zasiadam do deseru. Prowokacja*. Rec.: Kazimierz Słomiński. *Duch czasu jakiś niespokojny. Aforyzmy*. Białystok 2024. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorce. Z tekstu: *Mama wilnianka, tato warszawiak, ona już prawie... a syn i wnukowie zupełnie „poznańskie pyry”. Ale trójka prawnucząt powróciła do Warszawy – ukochanego miasta ich prapradziadka Zygmunta Grabowskiego, które z bólem pożegnał po kapitulacji Powstania i w którym został „zlikwidowany”, bo z rozkazu nowych władz, wzorem hitlerowców, urządzono na niego łapankę i rozstrzelano bez wyroku gdzieś na legionowskich wydmach. Absolwentka filologii polskiej UAM i dwóch studiów podyplomowych – obu w ulubionym mieście Krakowie. (...) Pierwszy wiersz popęłniła w klasie siódmej. Był wyrazem buntu przeciw katechetce, która klasę nazwała hołotą. Drugi to tłumaczenie fragmentu poematu Puszkina „Eugeniusz Oniegin”, które zadał rusycysta, oczywiście nie wymagając poezji. Dopiero na emeryturze znalazła czas na tworzenie. Debiutowała w 2002 r. zestawem wierszy „Pory miłości”, który opublikowano, bo zajął pierwsze miejsce. Wydała trzy tomiki poezji: „Pomiędzy” 2005, „Twarzą w twarz” 2009, „Niby nic” 2013, wszystkie w Rebisie oraz tom „To wszystko człowiek” 2018, w Wydawnictwie Miejskim Poznania. (...) Członkini Związku Literatów Polskich i Poznańskiego Zarządu oraz zespołu redakcyjnego związkowego kwartalnika ReWiry*.

Regina Kantarska-Koper. *Gry i kolaże*. [Nauczycielski Klub Literacki], Białystok 2024. Stron 75 [bez numeracji]; 20,9 x 14,8 cm; ISBN 978-83-63064-46-4. Projekt okładki i ilustracje: Julia Magdalena Koper. Dedykacja: *Moim najbliższym dedykuję*. Tomik poezji – 63 wiersze. # Str. [5-6]: Joanna Pisarska. *Jak w to grać*. [Wstęp]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorce.

Józefa Drozdowska. *Za kocurkiem kotki i dzieci sznurkiem. Opowieści o zwierzętach domowych i podwórkowych zainteresowanych niegdyś przedmiotami ze strychów, podwórzy i muzeów*. Wydawca: EKO-DOM sp. z o.o., Grajewo – Augustów 2024. Stron 128; 23,8 x 16,5 cm; ISBN 978-83-971956-4-6. Opieka redakcyjna i korekta: Marianna Rant-Tanajewska. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Wiesław Szumiński [kolorowe ilustracje]. *Wydanie książki sfinansowano ze środków Marszałka Województwa Podlaskiego oraz Burmistrza Miasta Augustowa w ramach stypendiów w dziedzinie twórczości artystycznej*. Wyd. I, 500 egz. Wiersze dla dzieci – 31 wierszy

w rozdziałach: *O poranku; W ciągu dnia; Wieczorem; Nocą*. # Str. 111-121: *Słownik nazw gwarowych i wyrazów kłopotliwych*. # Str. 123-125: *O autorce*.

Czesław Kowalewski. *Błękitny sen*. Jamiński Zespół Indeksacyjny, Twardy Róg 2024. Stron 6 + 72; 20,3 x 14,2 cm; ISBN 978-83-973822-3-7. Redakcja, korekta, wybór i układ wierszy: Regina Kantarska-Koper. Grafika na okładce i w książce: Łukasz Chełmiński. Dedykacja: *Żonie i Synowi*. Tomik poezji – 52 wiersze. # Str. 1-2: Regina Kantarska-Koper. *Błękitny sen Czesława Kowalewskiego*. [Wstęp]. # Str. 65-66: Oprac. Józefa Drozdowska. *Nota biograficzna*. Z tekstu: *Czesław Kowalewski urodził się 25 lutego 1950 roku w Augustowie. Zawodowo pracował jako ogrodnik. Jest pasjonatem żeglarstwa. Ma patent żeglarza. Pisze wiersze. Debiutował w czerwcu 1978 roku w „Gazecie Współczesnej” wierszem „\*\*\* Jeszcze tkwisz w słowach...” W latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych XX wieku przynależał do nieformalnych grup młodych twórców, spotykających się w klubie Stowarzyszenia PAX i w Miejskim Domu Kultury w Augustowie. W tych dwóch środowiskach, często zazębiających się ze sobą, nabierał szlifów pisarskich. Z przyjaciółmi uczestniczył w spotkaniach literackich w swoim mieście, ale także w Białymstoku, Olecku, Suwałkach i innych miejscowościach, jeździł również z nimi do Lublina na tygodnie filozoficzne, odbywające się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Interesuje się poezją, filozofią i religią.* # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autora oraz tekst Reginy Kantarskiej-Koper: *Oto książka poetycka Czesława Kowalewskiego, rodowitego augustowianina, poety, znawcy ogrodnictwa i jachtów, pod intrygującym tytułem „Błękitny sen”. Mnie ta ciepła, subtelna, nieco oniryczna opowieść porwała i nie pozwalała się od niej oderwać. Tematem utworów jest miłość, wzajemne relacje, koleje życia na tle pięknej przyrody, zwłaszcza jezior, ale także ogólne rozważania refleksyjno-filozoficzne o najważniejszych pojęciach: życiu, czasie, człowieku, jego drodze życiowej. W tej urokliwej lirycznej opowieści czas rzeczywisty przeplata się z marzeniami, snami, wspomnieniami. Radość i szczęście przewijają się na zmianę ze smutkiem, tęsknotą, rojeniami, reminiscencjami. Jak w życiu bywa. „Błękitny sen” czyta się z nieklamana przyjemnością, często ze wzruszeniem, nawet rozczuleniem, a jednocześnie lektura pobudza do refleksji nad sobą, światem, nad relacjami z drugim człowiekiem, sensem życia i hierarchią wartości, pozwala przywołać własne wspomnienia swojej wędrówki przez życie.*

Grażyna Cylwik. *Tajemnice klepsydry. Mysteries of a hourglass*. Nauczycielski Klub Literacki 2024. Stron 77; 21 x 14,1 cm; ISBN 978-83-63064-49-5. Redakcja: Irena i Kazimierz Słomińscy. Wstęp: Irena Słomińska. Wydanie dwujęzyczne, na język angielski tłumaczył Andrzej Wróblewski. Skład i opracowanie techniczne: Beata Kulaga. Projekt i opracowanie techniczne okładki, zdjęcia w książce i na okładce: Mirosław Andrzej Kulaga. Tomik poezji – 33 wiersze w wersji polskiej i angielskiej w dwóch rozdziałach: *Sen spada jak ptak; Na kołowrotku dnia*. # Str. 5-6: Irena Słomińska. *Ze snu rodzi się dzień*. [Wstęp]. # Na skrzydełku okładki zdjęcie autorki oraz notka: Grażyna Cylwik – Podlasianka. *Z wykształcenia geodetka, z zamiłowania poetka. Członkini Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział Warszawski II, Stowarzyszenia Nasze Bojary i Nauczycielskiego Klubu Literackiego, w którym od roku 2017 pełni funkcję prezesa. Wydała tomiki: „Słowa i wiatr” (2005), „Podaruję ci ciszę i tęczę” (2014), „Witraże zadumy” (2015), „W meandrach cieni” (2017). Współautorka tomików: „Dwie strony lustra” (2021) i „Na fali. Pod parasolem” (2022) oraz *Kajetów Starobojarских*: „W dłoniach wiatru” (2012) i „Promień i cienie” (2019). Publikuje w antologiach. Na swoim koncie literackim ma liczne wyróżnienia i nagrody.*

K. S.

## GALERIA TYPÓW

### ABSTYNET

Bo pić, palić, cudzołożyć  
bardziej nie chce niż nie może.

### ARTYSTA

Często jest to taki człowiek,  
co w swym wnętrzu ma pracownię.

### BŁAZEN

Gdy błazeństwo po łbie hula,  
chce mądrzejszym być od króla.

### DWULICOWY

Dwa pośladki czy też lica  
wyzierają mu z oblicza?

### EKOTERRORYSTA

Jak już diabli go nadali,  
to i ziemia mu się pali.

### FEUDAŁ

Swą ambicję zadowalał  
będąc panem na wasalach.

### GRAFOMAN

Tym bynajmniej się nie zraża,  
że kopnięty przez Pegaza.

### HIPOCHONDRYK

Jest to taki typ osoby,  
co mu źle jest bez choroby.

### HOMO SAPIENS

Gdy go kryzys w szpony łapie,  
sfrustrowany ledwo sapie.

### JAŚNIE OŚWIECONY

Gdy od środka całkiem ciemny,  
niekoniecznie jest przyjemny.

### LIZUS

Kiedy liże coraz wyżej,  
czort wie czego się doliże.

### MARZYCIEL

Tak bardzo się rozmarzył,  
że wpadł w sidła swych miraży.

### NATCHNIONY

Bo niejeden wierzy święcie  
w artystyczne swe zadęcie.

### NIEWDZIĘCZNIK

Bo to taki mąż zboczony,  
co mu nie w smak wdzięki żony.

### PECHOWIEC

Nawet jak chce zrobić dobrze,  
to mu coś tam stanie w poprzek.

### PIESZY

Po chodniku czy po zebrze  
człapie sobie wciąż w najlepsze.

### POLAK MAŁY

Wciąż ktoś ważny się przysłuży,  
żeby nie był bardziej duży.

### PRZODOWNIK

Czasem bywał niezbyt miły,  
gdy przodować chciał swym tyłem.

### SAPER

Czy się boi, czy nie boi,  
gdy seksbombę ma rozbroić?

### SZEWEC

Jak już poklnie w poniedziałek,  
to mu lżej na tydzień cały.

### TWARDOGŁOWY

To po prostu taki człowiek,  
co ma zatwardzenie w głowie.

### WODOLEJ

Choćby nie wiem jak się cenił,  
wody w trunek nie przemieni.

### WOLNY NAJMITA

Wolność może sobie schować,  
gdy go nie ma kto najmować.

### ZABIEGANY

Zabiegany bywa człowiek,  
lecz to nie jest bieg po zdrowie.

### ZJADACZ CHLEBA

Wciąż go chcą eksploatować,  
by przerobić go w aniola.